

MOJE WSPOMNIENIA

PRZEZ X...

[Koty] To Antoni

WYDAWCA A. Z.

LUBLIN

1934

MOJE WSPOMNIENIA

PRZEZ X...

[Kotyłło Antoni]

WYDAWCA A. Z.

LUBLIN

1934

Miejska Biblioteka Publiczna
Biała Podlaska



CZĘŚĆ PIERWSZA:

Praca wśród Unitów.

CZĘŚĆ DRUGA:

Praca wśród Marjawitów.

CZĘŚĆ TRZECIA:

Autobiografia.

i

EPILOG.

K



XV Kot
REGIONALIA

96315

282 : 943.8.071¹⁸/₂ 929 A_{1/2} (458) "18/19"

XV c : ID

A_{1/2} : Podlasie

OD WYDAWCY.

Rękopis „Moje Wspomnienia“ Autor przeznaczył na złożenie do akt osobistych w archiwum Diecezji Lubelskiej.

Opis tak ważnych wydarzeń historycznych nie może przejść bez echa i nie powinien leżeć w ukryciu.

Autor pozwolił mi odbić ręcznie na maszynie do pisania kilka odpisów „Jego wspomnień“.

Ja jednak pozwoliłem sobie na wydrukowanie kilkudziesięciu egzemplarzy, bo takie wykonanie okazało się tańsze, tańsze i wygodniejsze.

Mimo wszystko, publikacja ta nie traci swego pierwotnego charakteru i w myśl intencji Autora ma służyć do użytku wyłącznie prywatnego.

Lublin, dnia 8 grudnia 1934 r.

Wydawca A. Z.

Memento dierum antiquorum,
Cogita generationes singulas:
Interroga patrem tuum, et annuntiabit tibi:
Maiores tuos, et dicent tibi.

Deutoron. XXXII, 7.

CZĘŚĆ PIERWSZA.

WŚRÓD UNITÓW PODLASKICH.

„Moje wspomnienia“, osnute na tle pozostałych notatek po zniszczeniu przez wojska austrijackie w r. 1914 w wielkiej wojnie. Notatki te zapisywałem względnie szczegółowo od lipca 1902 r. do 1914 roku. Wspomnienia te mają głównie za temat cierpienia unitów za wiarę i polskość. Wiele już pisano o unitach podlaskich. Historia ta zawsze ciekawa ma jeszcze dużo szczegółów nieopracowanych. Zwłaszcza strona wewnętrzna tych dziejów jest mało znana, a może więcej ciekawa: chodzi tu bowiem o to, jak ci unicy żyli, gdzie się chrzcili, spowiadali, gdzie brali śluby, dysponowali na śmierć i u kogo, kto ich uczył katechizmu, kto kształcił ich silny charakter, hart, kto ich podtrzymywał na duchu i w wytrwałości, by nie ulegli przemocy i obietnicom często pojętym. Wszak ci unicy byli gorliwszymi i więcej uświadomionymi religijnie i społecznie od łacinników. Wszak unita-bohater mógł jednym słowem zgody na obietnice wroga uwolnić siebie i swą rodzinę od prześladowań, konfiskat, wygnania, a on jednak wołał: „o drugie tyle kary — to będzie ze mną amen“, który „całował nahajkę kozaczą“, a wiary się nie wyparł, a widok jego heroizmu rozbrajał często tyranów, przysparzał naśladowców, zwyciężał ciemieńców. Bohaterstwo, wytrwałość i męczeństwo unitów, to wieczne pomniki.

Ks. J. Pruszkowski w swem „Martyrologjum“, t. I, wiele szczegółów ujawnił, Ks. J. Urban w broszurze „Wśród unitów na Podlasiu“, Reymont w „Ziemii Chełmskiej“ i inni w swych publikacjach nieco tę stronę wewnętrzną wyświetlają, jednak nie wyczerpują oni przedmiotu, bo nie obejmują całokształtu co do terenu i czasu tych ciekawych dziejów. Zresztą inaczej sprawa wygląda jakby z lotu orła, szybującego w przestrzeniach i to tylko od czasu do czasu, a takimi musiały być wypadki i przygodne prace nie-nieustraszonych misjonarzy (O. Jackowski TJ), wpadających na te tereny, a inaczej kształtowały się dzieje stałe na miejscu. Musiały być te mrówki robocze, które ustawicznie przez cały czasokres znosiły dolę i niedolę ze współmieszkańcami tej ziemi, krwią męczeńską przesiąkniętej i sypały te wielkie mrowiska, te niezdo-byte szańce wiary i polskości w Winnicy Pańskiej dla matki Ojczyzny.

Ks. Pruszkowski w słowie wstępnem swego „Martyrologjum“, tom I, pisze: „Zebrać szczegóły prześladowania duchowieństwa i unitów, kościoła łacińskiego i unickiego i strasznej wojny prawosławia z ludem unickim, było moim celem. Lecz, by pisać martyrologjum, potrzebaby pójść od wioski do wioski, do siół i miasteczek, zajrzeć do domów unickich, pozyskać wyznawców ufność, aby wydobyć z nich spowiedź cierpień i ich męczeńskie rany obejrzyć, spisać imiona wyrwanych z łona ich familji i skazanych na ciężkie w głąb Rosji wygnanie i policzyć imiona męczenników pomordowanych za wiarę“. — „Oddaję tę pracę — Martyrologjum — w nadziei, że ktoś ją uzupełni w przyszłości“.

Czyżby więc w wolnej Ojczyźnie nie należało obecnie wykorzystać chwili i, dopóki żyją jeszcze—choć niestety nie wszyscy prześladowani, rzeczywiste świadkowie martyrologjum—udać się do wiosek, siół i miasteczek, by wydobyć na jaw szczegóły zmagania się dwóch potęg — państwa schizmatycznego z Kościołem katolickim, tego wysiłku prawosławia z duchowieństwem i ludem polskim? Czyżby nie należało polecić kapłanom, nauczycielstwu i urzędowi gminnym, by zbierali skrzętnie materiał tak ważny i ciekawy dla naszej historii? Czyżby nie należało utworzyć na to specjalnego funduszu i wydelegować odpowiedniego zbieracza faktów, który wzdłuż i wszerz obszedłby całe Podlasie i Chełmszczyznę i tę dziedzinę dokładnie i planowo opracował?

I nasi historycy i powieściopisarze mieliby przeobfity materiał, bogaty nader w piękne epizody i tragedję ludu bohater-

skiego męczeńskiego. Inaczej stanie się niepowetowana krzywda, gdyby razem z żyjącymi jeszcze typami unitów poszła do grobu i ich historia.

Piszący te słowa zna szerokie okolice, gdzie każdy dom, każdy krzyż przydrożny, każdy prawie człowiek, ba, nawet drzewa, lasy, drogi i wertepy, są brzemienne w szczegóły historyczne, warte ze wszech miar pióra badacza. Gdyby ten cenny materiał został zaprzepaszczony, stałaby się krzywda narodowi.

Należy mieć na uwadze i to, że dziś na Podlasiu niema kwestji t. zw. „**Ukraińskiej**“, że dla polskośći i katolicyzmu pozyskane zostały setki tysięcy ludności. A czyż w tem zasługa? Rząd moskiewski, popi, nauczyciele, strażnik i czynownik — wszyscy oni wyteżali swą moc, weszli i tropili wszystko, co trąciło polskością — katolicyzmem i niemiłosiernie, bez sądu, rzucali się chyba zajadlej na swe ofiary, niż dzikie lwy na arenie neronowskiej Romy.

Musiał więc **ktoś** podtrzymywać ducha, niecić zapał, hartować wytrwałość, pouczać, pielęgnować i obsługiwać te ideały, w obronie których było tyle ofiar, bohaterstw i krwi męczeńskiej. Bezsprzecznie, obok innych czynników, największą w tem rolę odegrało duchowieństwo diecezji Lubelsko-Podlaskiej. Kościół i plebanja były tą ostoją, tem ogniskiem, wskroś których całe życie prześladowanych się grupowało i formowało. Wyzwolona Ojczyzna wynagradza dziś i honoruje swe dzieci... I słusznie. Czyż atoli nie zasługują bodaj na odrobinę wdzięczności **starsi kapłani** tych dwu diecezji... Nie zeszli oni z posterunku w najcięższych nawet chwilach, nie opuszczali swych owieczek...; na nich głównie były wymierzone oczy i ataki wroga, byli oni często ofiarami... Niestety są dziś zapomniani i... Nie pracowali oni wprawdzie na poklask, bo spełniali tylko swój obowiązek, ale są przecież ludźmi i im coś od ludzi się należy... przynajmniej sprawiedliwość — od historii. To się nie stanie, jeżeli historii nie damy materiału. Są wprawdzie w archiwach akta księży, ale z tych akt trudno nieraz dociec prawdy, gdyż sami księża, by się bronić przed wrogiem, często wykrętnie się tłumaczyli, a rząd moskiewski zawsze w tendencyjnym świetle ich przedstawiał i najdzielniejsi byli najczęściej cichymi i pokornymi: nie reklamowali się. Zresztą dokumenty nie obejmują całokształtu działalności: im większe były czyny, tem więcej musiały być ukryte w mrokach przed czujnością moskali.

Niech mi więc wolno będzie podać niektóre fakty ze swych spostrzeżeń, przeżyć i notatek. To, co tu podam, jest faktem, łatwym do sprawdzenia, żyją bowiem jeszcze ludzie, o których wspominam i w tradycji ich dzieci echa te brzmią. Niestety, nie wszystko będę mógł zanotować, gdyż pozostało mi tylko część notatek, pamięć zaś zawodzi i nie chcę być niekrytycznym. Spełniam swój obowiązek i daję surowy materiał. Swoją osobę chciałbym w tym opisie zupełnie wyeliminować. Gdyby komu przyszła ochota mnie ganić, krytykować, to radzę, by się spieszył, póki świadkowie żyją, by te fakty na miejscu zbadał, poprawił i wtedy mnie skrytykował i by sam lepiej o tych ważnych dziejach napisał.

W martyrologjum Narodu Polskiego od r. 1863—1903

Podlasie chyba prym trzyma. Co się działo w tej połaci kraju za czasów Bergów, Czerkaskich, Muchanowów, Hurków, Apuchtinów, Gromeków i t. d. to tylko chyba z nimi mogą iść w parze Nerony, Dyoklecjany. **Nawet współcześni** i żyjący na Unji nie wszyscy mają pojęcie o wszystkim, jeżeli sami osobiście nie brali udziału w tej walce i nie byli świadkami tej gehenny, lub zdala tylko byli obserwatorami.

Szczęśliwy byłem, żeś obcował, pracował wśród unitów, żeś żył z tymi, którzy cierpieli straszne katusze, którzy byli więzieni, wysyłani w głąb Rosji, którzy stamtąd wrócili często okreżną, daleką drogą, żeś oglądał naocznie tych bohaterów, którzy mieli wytrącone ze stawów ręce i nogi, obite plecy, pełne blizn... żeś znał tych męczenników i ich dzieci. **Szczęśliwy, żeś był godny z nimi nieco cierpieć za wspólną sprawę, nieść im pomoc i obsługiwać ich w ukryciu — jakby katakumbach... pocieszać, uczyć i podtrzymywać ich na duchu.** Najpiękniejsze to są karty mego nędznego żywota. Byłbym niewdzięcznym Ojczyźnie i tym dzielnym rodakom, gdybym tego w niniejszych wspomnieniach nie ujął.

Sam urodzony w stronach unickich od dzieciństwa przypatrywałem się uciskowi unitów, gnieceniu przez moskali polskości i katolicyzmu. Jako młody kapłan, nim wyznaczono mnie na wikariat, starałem się nieść pomoc religijną unitom, w sekrecie nawet przed Proboszczami, u których ten czas spędziłem, a którzy bardzo się bali moskala. W Lubelszczyźnie Unja była odrazu zdławiona, a uporni skazani byli samym sobie na wymarcie. **Unita w Lubelskiem** był postrachem dla kapłanów. Tu rzadko który kapłan obsługiwał unitę. Tu unitę i kapłana łatwo każdy zdradził i wydał moskałom na męki. Każdy drżał. Moskale tu opanowali całkowicie sytu-

ację i walka z nimi była prawie zawsze przegraną. **Inaczej zupełnie było na Podlasiu:** im większe było prześladowanie, tem rosło bardziej bohaterstwo i upór unitów i dlatego praca kapłanów była porywająca. Na Podlasiu kapłan nie obawiał się zdrady od ludu zaprawionego do sekretu. Unici byli tu w masie i moskal nie mógł sobie dać z nimi rady w walce. Tu „sanguis martyrum, semen christianorum“ można zastosować w całej pełni.

W styczniu 1904 roku objąłem stanowisko wikariusza **par. Mordy** na Podlasiu. Była to placówka bardzo ważna, nader miła wśród unitów i dość trudna. Mieszkanie miałem jakby specjalnie na pracę tajną celowo zbudowane (stary gmach): długi, kręty korytarz, duże strychy, wiele ubikacji, kilka wejść do dużego ogrodu i cmentarza. Gmach parterowy, poklasztorny. Ogród gęsto zadrzewiony, cmentarz kościelny, pełny ogromnych drzew, za którymi mogło się kryć parę osób. Parkan około kościoła murowany, z dużymi wnękami i kaplicami, a kościół prześliczny trzynawowy z grubymi filarami. Proboszczem tu był wówczas zacny o silnym charakterze litwin, **X. W. Ambroziewicz**, niebojący się moskali, z nimi skutecznie walczący, tylko chory, epileptyk. Lud miałem idealny, święty, najzaczniejszy chyba w świecie, trzy typy: szlachta zagonowa, włościanie katolicy-łacinnicy i unici. Szlachta, to katolicy, patryjoci, ambitni, ale pieniacze i niezdarni gospodarze. Włościanie katolicy, zacni, dobrzy gospodarze. Oraz unici święci, zacni, przebiegli, wyrobieni politycznie, których niełatwo nabrać, owszem oni potrafili każdego, nawet moskala wyprowadzić w pole. Kobiety, zwłaszcza wszystkich typów były mądre, gospodarne, pracowite; domki swe, acz ubogie utrzymywały niezmiernie schludnie, czysto i przystrojone. Każda umiała na krosnach — warsztatach wyrabiać prześliczne samodziały, kilimy, dywany, płótna. Wioski na Podlasiu przeważnie duże i albo szlacheckie, włościańskie lub unickie — męczeńskie. Niemal we wszystkich wioskach unickich znajdował się lud bohaterski, męczeński. Kościółki, wioski, krzyże przydrożne, urzędy gminne, szkoły na unji mają często ciekawą i nadzwyczajną swą historję. Są one zbroczone krwią tego ludu, a cmentarze pełne są mogił św. męczenników podlaskich.

Tylko ten, kto nie zna dziejów tej ziemi, może powiedzieć, że przesadzam. Ja jednak niniejszem daję tylko świadectwo prawdzie i wyrażam hołd bohaterom. Przytem zaznaczam, że lud ten był wdzięczny, przy księdzu i Kościele stał twardo, był jak granit, nie dał się złamać, nie zdradził. Jego

gorliwość, wytrwałość, poświęcenie wywoływały nawet u wroga podziw i często prześladowców nawracały. Ta wartość unitów i przedziwne historie ich bohaterskiej walki za wiarę i polskość wzbudzały współczucie, zmuszały nas do niesienia im pomocy religijnej, do zanotowania o nich wspomnień.

Wprawiony nieco w obcych parafjach do pracy nad unitami na amatora, z zapalem, ufny w pomoc Bożą, zabrałem się do roboty w naznaczonej mi placówce. Ustępujący mój poprzednik X. W. Z. objaśnił mnie, jakie zadanie i jakie trudności mnie czekają. Podyktował mi z całej okolicy ludzi pewnych, wyrobionych „prowodyrów“ unickich, a niektórych przedstawił mi osobiście. Z przejęciem się objąłem dowództwo tego frontu bojowego. Ogarniał mnie strach, ale i otucha mnie nie opuszczała. Poprzednik radził mi, bym w początkach był b. ostrożnym i wstrzemięźliwym, bo będę pilnie przez moskali podpatrywany. Nie umiałem się do tej rady zastosować, gdyż żniwo było pilne i wielkie, nie mogłem wyczekać obojętnie, gdy zewsząd zwracano się do mnie z potrzebami, odrazu wziętem się ostro do pracy, nie potrafiłem odróżniać unity od łacinnika, ale każdemu, kto się do mnie zgłosił, pociechę duchowną niosłem. Fama prędko się rozniosła, że „On“ wszystko robi unitom, że „diejatiel przybył“. Zaczęto węszyć, a przyjaciele mnie ostrzegali. Cofać się było zapóźno, postanowiłem więc nie oglądać się w tył, ale jak najwięcej zrobić, nim mnie wywozają, ukarzą; niech przynajmniej będą mieli za co mnie karać. Nie zaniechałem jednak środków ostrożności, złożyłem wizyty „naczalstwu“, urządziłem parę razy dla „moczymordów“ wypitkę, zaopatrzyłem swą bibliotekę w literaturę rosyjską... udało mi się w ten sposób zmylić opinię, bo zaczęto w ich środowiskach mówić: „horoszyj, poriadocznyj ksiondz“. Nadto zorganizowałem planowo swą defenzywę: z ludzi mi poleconych i których sam sobie dobrałem utworzyłem milicję, której zadaniem było pilnować mnie, ostrzegać w porę, dopilnować mnie w pracy, by jaki przebrany szpieg nie wślizgnął się między unitów, bym takiego nie wypowiadał; przyprowadzać — dowozić do mnie unitów lub mnie zawozić do nich, by nie było gdzie zasadzki — zdrady. Obowiązkiem też milicji było pilnować popów, żandarmów i policyj, śledzić ich ruchy, by mnie w porę uprzedzić przed niebezpieczeństwem, by zmylić ślady tropiących mnie. W każdej wsi unickiej musiał być członek tej organizacji t. zw. „prowodyr“ i każdy unita tylko z takim prowodyrem lub przez niego poleconym mógł

dopiero się do mnie dostać, wypowiadać, załatwić swe potrzeby. By zmylić podejrzenie, często prowodyrami byli łacinnicy, ludzie poświęcenia. Żaden szpieg prawosławny nie mógł ujść czujności takich prowodyrów, choćby się przebrał w piórka unity, by księdzę podejść, złapać. Jeżeli udawałem się gdzie do wioski unickiej z jaką posługą religijną, obowiązkiem było prowodyrów pilnować dróg i domów, by jaki policjant-szpieg nie podążył w ślad za mną, a jeżeliby co niebezpiecznego upatrzone, to jedni przez drugich pocztą żywą uprzedzali napad... Ja naprzód wiedziałem, że w kościele, przy konfesjonale, ambonie stoi przebrany wróg, że wśród cisnących się do konfesjonatu wmieszał się obcy szpieg. Ja w takich wypadkach, widząc nieznanego, na dany znak prowodyra, na uboczu stojącego, tego obcego nie wypowiadałem, ani w jego obecności unity nie załatwilem, będąc ogłędny nawet w słowach. Mając przy sobie szpiega, byłem „sierditym“ na „kałakutów“, wymyślając im, że tylko łacinników załatwiam, a „wy kałakuty won stąd“. Unici wiedzieli, co to ma znaczyć, wiedzieli też że później będą załatwieni, a szpiegi wtedy mówili: „eto błagonadieżnyj ksiondz, bo unjatów przepędza“. A ile razy były wypadki, że zbliżali się do mego konfesjonatu szpiegi, raz np. służąca pisarza gminnego — Borodiuka z Mórd, raz córka wójta tejże gminy Czechowicza. Oczywiście, w porę ostrzeżony, odpędziłem je.

Wypowiadanie bodaj jednego unity wystarczało do wywiezienia księdza z parafji, na dotkliwe „sztrafy“, lub nawet wygnanie do Rosji. Z czasem organizacja nasza tak się wyszkoliła, iż urosła w potęgę, że wykonywaliśmy czyny wprost za śmiałe i nadzwyczajne, kpiliśmy sobie z moskiewskiej czujności. Często we wsi prawosławni „pierekińczyki“, gdy była jaka robota misyjna dla unitów, nie śmieli się pokazać, bo im grożono. Jednak potem unicy musieli swe zuchwalstwo odcierpieć, posypały się na nich sztrafy, śledztwa i siedzenie w kozie. Znaleźli się w organizacji tak dzielni i odważni, iż wykradali dzieci bezdomne z monastyrów oraz ochron prawosławnych Witowa i Leśnej i te dzieci, przedtem wychowywane i moskwiczone, rozmieszczali w rodzinach polskich w Warszawie i innych środowiskach czysto polskich. Tem wyłapywaniem dzieci z paszcz prawosławia zajmowała się głównie „Rózia“ Barańczuk z Patkowa, Łukasz Kowalczyk z Krześlina, Michalina z Knychówka, Józef Chwedoruk z Dawidów, Teklusia Mikiciuk z Olszanki. Ułatwiali, finansowali, dawali rekomendacje do rodzin polskich w tej robocie dr. Fejt, jego żona Na-

talja z Dobrzyńskich, oboje z Patkowa, Rakowiecka prezesowa z Siedlec, Zembrzuska, Hulewiczowa z Mórd i inni.

Jak w Lubelskiem **Radecznica**, tak na Podlasiu **Leśna i Wirów** były temi monastyrami, temi twierdzami prawosławja na wielką skalę. W owych monastyrach były ogromne ochrony — „priuty“, do których moskale gromadzili z szerokich okolic niemo-włęta i je moskwiczili i wrogo usposabiali do Polaków.

Za postawienie krzyża na drodze, na polu, wymierzane były srogie kary. Karany był i właściciel gruntu, fundator i który im pomagali, a jeżeli stawianie krzyżów się często powtarzało, to odpowiedzialna była cała wieś. Unitów te kary nie zrażały, bo krzyże rosły jak grzyby po deszczu. Nigdzie w Polsce nie było tyle krzyżów przydrożnych, jak na Podlasiu; krzyże przydrożne tu mają osobną ciekawą, często b. krwawą historję, wartą pióra badacza.

Ja byłem świadkiem takich uroczystości i te krzyże poświęcałem, m. in. na **wiosnę 1904 r. we wsi Dawidy**. Postawiliśmy wtedy ogromny krzyż na polu za tą wsią od strony Bejd i drugi na końcu wsi na drodze do Szydłówki, pomiędzy trzema topolami, gdzie ongiś odbyły się straszne egzekucje i męczeństwo unitów. Postawiliśmy też **krzyż w Czołomyjach**, w ogródku popa, w nocy, podczas wielkiej zawiei... Brrr, pies tej nocy nie wyjrzałby z budy, a dzielny unita stawiał godła swej wiary i narażał się ogromnie na dotkliwe kary. Gdy było większe zebranie unitów misyjne, wtedy ono kończyło się zwykle postawieniem krzyża. Moskale prowadzili wojnę z temi krzyżami.

Gdy było niebezpiecznie przekradać się do unitów, by im chorych wypowiadać lub ochrzcić dzieci... to się wówczas na ryzyko brawurowało manifestacyjnie i tak docierało do tych biedaków: nibyto urządzaliśmy polowanie w tej wsi i wtedy wpadałem niby napić się wody, ogrzać, coś zreperować, do chaty wskazanej i obsługiwałem potrzebujących, podczas gdy inny myśliwy strzelał obok bodaj do wron, do celu i tak hałasował, że uwagę główną na siebie zwracał. Kompanami w podobnych polowaniach na dusze unitów byli głównie: Strzelbicki, aptekarz z Mórd, Płużański, nadleśny ze Stoku R., Edm. Janikowski, rybak z Mórd.

Czyto u mnie, czy w aptece Strzelbickich, czy w sądzie u Domańskich lub w nadleśnictwie u Płużańskich urządzaliśmy zabawy, koncerty smyczkowe, gramofonowe, grę w karty, libacje, na takie imprezy prosiliśmy Borodiuka i Mincewicza, pisarzy gminnych,

Rycerskiego, nauczyciela i Porodkę i in. — moskali. W jednym pokoju była zabawa, hałas, w innych chrzciliśmy dzieci, dawałem śluby. Wtajemniczeni polacy czuwali, by moskał nie wyszedł z pokoju i nie natrafił na inną zabawę... Były to czyny szaleńców, ale się udawały, a moskale nie przypuszczali nawet, że są parawanami „chitreca księdza“ i że poniekąd przyczyniają się do obsługi unitów. Nikt prawie z polaków nie utrzymywał stosunków towarzyskich z moskalami, chyba tylko wtedy, gdy interes polski i katolicki tego wymagał. W wioskach unickich księdzu katolickiemu nie wolno było się ukazać, bo to odrazu zwracało uwagę, „oczajduszów“ urzędników, popów, nauczycieli moskiewskich. Tylko gdy ksiądz do nich przyjechał, to się z tego wielce szczycili i podejrzenie ustawało u pierekinczyków, a księdzu łatwiej było gdzie w drodze zahaczyć się o dom unity potrzebującego go. Ale to brawurowanie musiało być uplanowane i bardzo przebiegłe.

Księdzu nie wolno było wyjechać z parafji bez paszportu nawet do sąsiedniej parafji. Tylko X. Dziekan miał ten przywilej w swym dekanacie. Gdy unita chciał się dostać do księdza, lub gdy tylko znalazł się w wiosce, miasteczku, gdzie był kościół, to go odrazu badano i śledzono, do kogo, w jakim interesie tu przybył. Musiał unita nieraz parę dni się skradać, kołować poza gumienkami, by sprawę załatwić i siebie i księdza nie narażać. A gdy ksiądz miał wyjechać do wsi unickiej z misją duchowną, to musiał użyć nielada sprytu, by go nie zauważono, musiał się wystrzegać nawet swoich, służby, by ci mimowoli nie wpłatali go w kabałę, bo i misja by się nieudała i mógłby siebie i kościół parafjalny zgubić. Najtrudniejsza misja była jechać ze Św. Sakramentami do chorych unitów lub chrzczyć dzieci, bo te kwiliły i strach obudzały. W tych wypadkach ksiądz nie mógł wsiadać do wozu przed swym domem i kościołem, lecz musiał przedzierać się przez przeszkody, poza opłotkami, niby idąc na spacer lub polowanie, wypadało mu nieraz wdać się w gawędę gdzie na kupie kamieni z ludźmi, często policją, napalić się papierosów z nimi i tak powoli coraz dalej od nich, coraz bliżej do furmanki unity, który gdzie ukryty może od paru dni wyczekiwać. Jechało się pod strachem, ale i Opieką Bożą, nie drogami publicznymi, lecz po wertepach, po krętych manowcach, często rozstawnemi końmi, w przebraniu najczęściej za chłopca lub kobietę, by w ten sposób zmylić ślady i podejrzenia wrogów. Kieszeń kamizelki służyła za „Bursę“ do Najśw. Sakramentu, a pudełko od za-

palek i z zapalkami lub portabak z papierosami były „naczynkiem” na Olea sacra. Ale przejdźmy do szczegółów.

Było to 25 marca 1904 r. Zmęczony całodzienną pracą święteczną, koło północy zabierałem się do łóżka na odpoczynek. Wtem odezwało się pukanie do drzwi. Pukała „**Rózia Barańczuk**” — sławny prowodyr na Podlasiu z Patkowa R., prosząc mnie do wyjazdu do chorego **Leona Barańczuka**, swego stryja, który był ciężko chory, a nie był u spowiedzi od czasu skasowania unji (1874 r.). Błagał ten chory o księdza kat. przed śmiercią. Co mam robić?? Nie mam oficjalnego obowiązku jechać do unity, przeszło 4-ry mile drogi, deszczyk mrzy, rozstopy wiosenne, noc krótka, strach mną trzęsie, bo jest tam w pobliżu wójt Kozłowski, prześladowca unitów, nadskakujący moskałom... Trudno, jadę. Biorę św. Sakramenta i wychodzę przez ogród plebański. Poza stodołami odnajdujemy furmankę i jazda. Wiezie mnie Józef Morwa, a wiezie jak warjat warjata po wertepach, bocznymi drogami, pełnemi wody i błota. W lesie zmieniają konie. Przebrany byłem na babę, owinięty w chustkę. Gdy już byłem o parę kilometrów od Patkowa, gdzie był chory, wtem przybywa konno posłaniec i objaśnia, że już późno, gdyż chory skonał, prosi jednak, bym dojechał do wsi, bo ludzie czekają, jest kilkoro do spowiedzi, pięcioro dzieci do chrztu, dwie pary do ślubu i bym choć trupa pokropił. Przybywam do domu wskazanego. Umarły(?) leży już na tapczanie sztywny, umyty, ubrany jak na śmierć. Świece się palą, otoczenie się modli za jego duszę. Według zasady, że dusza może być jeszcze w ciele, szarpnąłem chorego za rękę i zawolałem: „ksiądz przyjechał!”; powtórzyłem to wołanie kilka razy i o dziwo, chory drgnął; powtórzyłem jeszcze mocniej ten okrzyk, a chory oczy otworzył, rozruszał się, zaczął wzdychać i łzawo płakać. Dodać mi wypada, że chory, jak tylko pojechano po księdza, nie dał przy sobie ludziom stać, lecz nieustannie wołał: „Lidźcie, zobaczcie, czy księdza nie widać, już powinien być”. Nim jednak dotarło do mnie i mnie przywieziono na miejsce, upłynęła przeszło doba. Na dany znak ludzie się usunęli z izby, wyspowiadałem chorego, który był przytomny już. Poczem ludzie się zeszli i udzieliłem mu ostatnich Sakramentów, następnie dałem mu świecę-gromnicę do ręki, odmówiliśmy modlitwy nad konającym i ten załzawiony i zamodlony wyzionął ducha. Odmówiłem potem modlitwy pogrzebowe. Był to wypadek niezwykle, może letarg, a może i nawet cud. Zdarzenie to wywarło olbrzymie wrażenie i zachęciło

unitów do większej ufności, gorliwości i wytrwałości w wierze, a mnie do tem intensywniejszej jeszcze pracy i odwagi. Wypowiadałem resztę przygotowanych, niedomagających, położnic, ochrzciłem dzieci, pobłogosławiłem śluby, rozdałem nieco dewocjonalji i katechizmów, przyjąłem kilka osób do tercjarstwa i do szkaplerza Serca P. J. Wracam pełen strachu, bo droga zła i daleka i ma się ku świtowi. Na dobitkę w drodze koń nam zakulał; Morwa J. od paru dni nie śpiąc, rozdrzemał mi się na dobre, że musiałem sam powozić, a uparł się, że mnie sam przywiezie i odwiezie, bo się bał mnie komu innemu powierzyć. Szczęśliwie dotarliśmy do wsi Głuchowa. Morwę stąd odprawiłem, a sam pieszo parę kilometrów wróciłem do domu, przez pola oraz ogrody dworskie. Umywszy się i galanto ubrawszy, poszedłem zaraz do kościoła, gdyż była już spora kupa do spowiedzi wielkan.

W końcu stycznia 1904 r. „Teklusia Borysiuk“, święta, gorliwa, niezmęczona unitka-prowodyrka z Olszanki, urządziła duży zjazd Unitów w Korczówce u Karola Marciniaka. Unici z dalekich okolic licznie się stawili ze swemi potrzebami. Ja od paru dni kwękałem na zdrowiu (było początek ospy). Wezwałem z poradą felczera Konst. Czarnockiego, który był wtajemniczony w moją pracę. Rozniosło się szybko, że X. wikary zachorował. Choroba ta odwróciła czujność szpiegów odemnie, łatwiej więc było mi przedsięwziąć wyprawę do Korczówki.

Był już wieczór, ciemno, zadymka. Wybrałem się w umówionym dniu i godzinie „z przyborami“ za miasteczko w oznaczone miejsce, gdzie konie czekały. **Lukasz Stefaniuk** po mnie przyjechał. Konie były dobre. Osłoniiony przygotowaną chustką przytulilem się do Stefaniuka na sankach i tak pędziliśmy, może chyżej od Napoleona z pod Berezyny, do Korczówki, omijając wsie Sosenki, Bejdy, Dawidy, Olszankę. Bez przygód przyjechaliśmy na miejsce. Korczówka to pewna „nasza wieś“, prawosławnych było tu mało, a reszta dzielni unici, wyterminowani przez „Onufra Hawryluka“. Zebranych była ładna gromada. Najpierw, by się pozbyć niezdarnego balastu, wypowiadałem chorych, ochrzciłem chore dzieci. Ale pozostało jeszcze do obsłużenia dwie pełne izby ludzi. Ochrzciłem wtedy przeszło sto dzieci, dałem ślub kilkunastu parom, rozdałem książki i dewocjonalja, przyjąłem wielu do bractw i tercjarstwa. Dzieci chrzciłem partjami po 15 sztuk naraz. Szczęśliwie dotarłem do końca. Kobiety z dziećmi i unici z dalszych stron się rozjechali. Pozostało sporo jeszcze mężczyzn miejscowych, z którymi

gawędziłem, posilając się przysmażoną kielbasą. Naraz wszczął się tumult, zamieszanie, nie zdążyliśmy się zorientować, gdy **do izby wpadło dwóch strażników**, ja byłem w alkierzu... dałem nura w ciżbę chłopów, wymknąłem z mieszkania i hajda pieszo co mi sił starczyło, a byłem dobrym biegaczem, uciekałem w stronę Olszanki, odległej o jakie 3-y kilometry. Gdym już był daleko za wsią, dolatywał mnie głos: „nie ujdiesz proklaty, dierżytie, eto wor“. Dopadłem szczęśliwie do Olszanki, natknąłem się na straż nocną, złożoną z unitów, objaśniłem ich lakonicznie: „policja mnie ściga, zmylcie pogoń, jestem ksiądz“ a sam kucnąłem w kupie gałęzi pod płotem. Chłopi unicy, obyci z takimi wydarzeniami, odskoczyli od tego miejsca i pobiegli w stronę ku strażnikom, mówiąc im, że kto to poleciał do Próchenek. Strażnicy poleciecieli w tę stronę. Okazało się później, iż ci strażnicy nie byli miejscowi, wędrowali oni z Łosic przez Korczówkę do wsi Królowa-Niwa. Było jednak za kilka dni śledztwo w Korczówce, ale nic nie wykazało, gdyż strażnicy nie potrafili nawet wskazać domu, w którym było zebranie, ani nikogo żywcem nie złapali. Straż nocna wsi Korczówki była tylko ukarana za nieporządki i jakoweś zebranie. Ja zaś wtedy udałem się z Olszanki do Dawidów i stąd Paweł Chwedoruk odprowadził mnie do Bejd, a z Bejd Mikołajczuk, dobry katolik, odwiózł mnie do domu już naprawdę dobrze chorego na ospę. Rozpocząłem zasłużony odpoczynek, gdyż ospa w całej pełni wystąpiła i przeleżałem w łóżku sześć tygodni. Miód, wino, doktorzy i spowiednik byli moimi pocieszycielami. Zaraziłem się na tę chorobę we wsi Głuchówku...

Prawie podobna historia spotkała mnie innym razem we wsi Olszance, w domu Andrzeja Andrzejkuka. Dowiedzieli się strażnicy, że tu odbywa się zebranie unitów z księdzem. Ale, nim strażnicy przybyli, nas w porę ostrzeżono, ja uciekłem, a ludzie się rozeszli. Andrzejkuk i paru innych unitów za „naruszenie spokoju“ posiedzieli kilka dni w kozie, nie im nie dowiedziono. Możeby i wtedy wykryto winę i winnych, ale wojtem był podówczas Mikiciuk, stryj „Teklusi“ — prawosławny i podły pierokińczyk, jednak sumienie mu nie pozwoliło zębać się nad swą bratanicą, która była główną sprawczynią zjazdu... Strażnicy tym razem byli z Międzyrzecza, w Mostowie mieli jakąś czynność i ktoś im szepnął, że w Olszance jest tajne zebranie, żaden więc sławy wybrali się do Olszanki, ale spóźniwszy się, już niczego nie przyłapali i „kakoż to czort-ksiądz“ im umknął, a poszukiwania na ni-

czem spełzły, podejrzanym unitom była wymierzona niewielka kara. Ale i gorliwi policjanci mieli podobno dostać srogi „wygovor“ i przeniesiono ich na inny posterunek, że niedołężnie pełnili służbę.

W maju 1904 r. „Józef Chwedoruk“ z Dawidów zorganizował wielki zjazd unitów we wsi **Krzewicy k. Międzyrzeca**. W dniu umówionym pojechałem do Zbuczyna swemi końmi. Wioźł mnie Karol Goś z Mórd, łacinnik. Gdym tylko w Zbuczynie znalazł się u Ks. Hier. B. — wikarego, strażnik miejscowy zwąchał mnie i zjawił się do kuchni z zapytaniem, kto przyjechał? Ks. B. wyszedł do niego i objaśnił mu, kto jestem, żem przyjechał do niego w gościnę — wprowadzie bez paszportu. Ale Ks. B. niezmiernie obrotny i energiczny, dał strażnikowi porządną łapówkę, strażnik się uspokoił i wyszedł. Ks. B. całą noc miał oświetlone pokoje na znak, że ma gości, że gramy w winta. Ja zaś, jak tylko mogłem, prędko, objaśniwszy wprzód Ks. B. o celu mego przybycia, wymknąłem się z wikarjatu za miasteczko, dotarłem według wskazań „Józefa Ch.“ do furmanki Jana Jaszczuka z Dawidów, który z Józefem oczekiwali na mnie. **Jan Jaszczuk**, który nas wioźł, był wnukiem sławnego Melana Jasz... Owinąłem się w chustkę jak kobieta, usiadłem razem z Józefem, który też przypiął sobie czarną bródkę i tak w Imię Boże puściliśmy się szosą do Krzewicy. W tyle wozu mieliśmy kojec z prosiakiem i butlę z naftą... jechaliśmy nibyto z jarmarku ze Zbuczyna. Chyba nigdy, tak się nie bałem, jak wówczas i rzeczywiście tego dnia pech mnie prześladował. W Zbuczynie strażnik, w drodze na szosie spotkaaliśmy wachmistrza z drugim strażnikiem. Zadrżałem ze strachu przytuliłem się do piersi Józefa jak żona do męża. Józef, cwaniak kiwał się, udając śpiącego, J. Jaszczuk dodając sobie fantazji pogwizdywał, a ja szczekałem zębami. Jakoś, dzięki Bogu, niezaczepteni przez policję, pojechaliśmy dalej, ale już nie szosą, tylko boczną drogą. Krzewica miała opinię niebezpiecznej wsi: żaden misjonarz ani ksiądz od czasu skasowania unji tu nie śmiał się pokazać. Sporo było tu gorliwych pierekińczyków, którzy mogli zdradzić, a nie było wyrobionych — kutych prowadyrów, każdy zaś unita utajony siedział cicho i znosił niewolę, bał się ludzi. Zgromadzenie unitów z kapłanem było wielkiem ryzykiem, ale poniekąd może i bezpieczne, gdyż uwaga oczajduszów-moskali od tej wsi była odwrócona. Nikomu bowiem nie przyszłoby do głowy pomyśleć, by w tem gnieździe „szerszeni“ mógł znaleźć się śmieć na taki czyn, jak misja.

Józef, mój przewodnik, który nigdy nie tracił na minie, tu skapcaniał i drżał ze strachu. Droga była dość daleka. Modliliśmy się na różańcu do M. B. o Jej obronę. Dojechaliśmy. W Krzewicy 3 domy były zapchane chorymi, dziećmi i parami do ślubu. Zgromadzili się unicy z dalekich okolic od Drelowa, Dolhy, z za Międzyrzecza i z pod Białej. Myny unitów były wystraszone, bo od paru dni zmęczeni wyczekiwali i z księdzem misjonarzem oddawna nie mieli do czynienia. Każdy chciał się pierwszy załatwić i uciekać. Najpierw wydysponowałem chorych, potem zabrałem się do chrzczenia dzieci. Dzieci, a z nimi i starsi się rozplakali, na mnie wystąpiły wszystkie poty. Musiałem użyć całej energii, nawet złości, by opanować panikę. Ochrzciłem wtedy paręset dzieci. Musiałem nawet wyjść na świeże powietrze i odpocząć, gdyż ze zmęczenia, zaduchu i strachu zrobiło mi się niedobrze. Wreszcie uporałem się z chrztami, kobiety z dziećmi odeszły, nastąpiło odciążenie. Ze ślubami poszło łatwo. Złączyłem związkiem małżeńskim 21 parę. Na większych takich zebraniach miałem zwykle przed spełnieniem posług przemowę, wyjaśniając znaczenie obrzędów, zachęcając do wytrwałości, poczem odbierałem przysięgę, by zainteresowani i świadkowie nie rozpowszechniali o misji, by siebie i innych nie zdradzić, by raczej dać sobie język wyrwać, niż się przyznać, czyje imię wyjawiać... Trudno mi opisać to rozrzewnienie, żale i płacze i wdzięczność unitów. Starałem się tych pocziwców obdarzyć jakąś pamiątką, bodaj obrazkiem, medalikiem, najczęściej książeczką, katechizmem i choć krótką pogawędką z nimi. Ale komu w drogę... Józef został we wsi, ja zaś, przebrawszy się znów za kobietę, usadowiłem się na wozie i tenże dzielny Jan Jaszcuk ruszył w powrotną drogę, bojąc się mnie oddać komu innemu... Sprytny unita.

Przyjechaliśmy bez przygód do Zbuczyna pod miasteczko. Zeskoczyłem z wozu, opłotkami, przez ogród dopadłem do wikarjatu, przy którym stały konie Gosia już gotowe do drogi. Wsiadłem na wóz i, nie pożegnawszy się z Ks. B., wyjechałem ze Zbuczyna. W drodze dostałem burę od Gosia mnie wiozącego, że tak długo się bawiłem na wikarjacie, on się niecierpliwił, bo już koniom zabrakło obroku. Wyłgałem się przed nim... Ładna rzecz łgać, prawda? O trudach i niebezpieczeństwach, na jakie się unicy narażali, trudno byłoby opisać. Dla mnie praca była wdzięczna i sercem unitów sownie opłacona.

Nie mam zamiaru i intencji pisać historii prześladowania polskości i katolicyzmu, gdyż to mniej więcej już jest znane i opisane. Opisuję tylko życie unitów, załatwianie przez nich obowiązków religijnych i opór prawosławju. Ciekawy, a mniej znany, jest też stosunek unitów do księży katolickich i odwrotnie. Księża na Unji, z małymi wyjątkami, stali na wysokości zadania, cicho bez rozgłosu unitom posługi religijne spełniali. Byli i tacy, którzy wyjeżdżali do dalszych okolic z parafji swej do obsługi unitów. Wielu z nich było prześladowanych za swą działalność. **Były parafje, z których od szeregu lat żaden kapłan dobrowolnie nie wyszedł, ale każdego moskale wyrzucili lub wysłali na wygnanie.** Kapłani, mając swe parafje na Unji, musieli być bardzo przezornymi, by coś zrobić i siebie i swego kościoła i swej parafji nie narazić na prześladowanie. Nie każdy mógł i nie każdy był zdolny do pracy konspiracyjnej: taki gdyby się brał do roboty nad unitami, mógłby więcej przysporzyć kłopotu i szkody Kościołowi, aniżeli pożytku i chwały. Prześladowcy wszędzie pilnie śledzili i węszyli każdy ruch kapłana. Śledzono, u kogo ma się dziecko urodzić, by nie było ochrzczone po katolicku, kto ma brać ślub, by ten ślub nie był „po krakowsku“, gdzie kto chorował, by w porę gdy zamrze zawlec trupa na cmentarz prawosławny i choć po śmierci zrobić go prawosławnym. Doprawdy tym biednym unitom nie dano żyć w spokoju, modlić się, rodzić się, chrzcić, ślubować i nawet umierać. Ale to prześladowanie wytworzyło całe zastępy bohaterów, którzy niczego się nie ulękli, na wszystko się odważyli, byle tylko oprzeć się prawosławju i wszystko po polsku i katolicku wypełnić. Te zmagania się unitów przez tak długie czasy z wrogiem silnym nie są dość znane, a tembardziej nie są należycie doceniane. Niech moje te notatki choć cokolwieczek wypełnią tę lukę. Może znajdę naśladowców.

Miasteczko

Mordy.

Miasteczko Mordy podczas mego tu pobytu nazywano drugim „Krakowem“: tu unicy z szerokich okolic się skupiali i byli obsługiwani. Był czas, że wejście do kościoła było strzeżone przez specjalne straże, które tylko katolików łąć. do świątyni wpuszczały. Unitą tylko w nocy, przez parkan mógł się przedostać. Z czasem X. Ambroziewicz te straże porozpędzał. Lecz za to musiał płacić duże kary, miał wielkie przejścia z gubernatorem Gołowińskim, ale zwycięsko wyszedł z walki, mając silną obronę w osobie dowódcy dragonów.

W Mordach był duży piętrowy dom, w którym mieściły się: sąd, apteka, poradnia felczerska i mieszkania kierowników tych instytucyj. Dom ten stał przy rynku, obok odbywały się częste targi i jarmarki. Naokoło tego domu stały prawie nieustannie furmanki. Do sądu zjeżdżali się interesanci, do apteki chorzy po lekarstwa, do felczera o poradę, z dziećmi do szczepienia i t. d. i t. d. Dom ten stał się kościołem dla unitów: nie było tu wprawdzie ołtarzy i organów, nie odprawiało się nabożeństwo—Msza św., lecz pozatem wszystkie inne czynności religijne były załatwiane. Pod pozorem interesów w aptece, sądzie i u felczera zjeżdżali się unicy z chorymi do spowiedzi, z dziećmi do chrztu i młodzi do zawarcia ślubu. Zwłaszcza lokal sądu służył nam w tym celu. Zaczynał p. **Adam Domański**, sekretarz sądu, z żoną Marją, oraz **Aleksander Strzelbicki**, aptekarz, i **Konstanty Czarnocki**, felczer, byli całkowicie oddani tej św. sprawie i wydatnie pomagali mi. A ile to ja z Domańskim odbyłem dalekich spacerów, w czasie których zahaczałem o domy unitów i przychodziłem im z pomocą religijną? Ileż to z pp. Strzelbickim, Janem Zembruskim i Płużańskim urządziliśmy polowań w Hołudli, Czepielinie, Czołomyjach, Stoku Ruskim, Wyczółkach i Dawidach, a jednocześnie w tych wsiach unickich, często w lesie na polance, osłoniętej gęstwiną drzew, załatwiałem potrzeby religijne unitom.

Moskale pienili się ze złości, że jest w okolicy „kakoż to czort“, który na prawo i lewo szeroko działa, podrywa prawosławną wiarę, załatwia unitów, ale trudno im było coś wysledzić i przyłapać winnych na gorącym uczynku. Do tych prześladowców unitów należeli okoliczni popi, a głównie pop z Czołomyj, Kozłowski, wachmistrz Lewin z Siedlec, wójci: Kuźma i Czechowicz vel „Małycha“ z Czołomyj, w. Kozłowski z Łysowa, pisarze gminy: Maciej Porodko i Borodiuk z Mórd, nauczyciel Michał Rycerski z Mórd. W kościele w Mordach nieraz spowiadaliśmy unitów przez całą noc.

Jan Górzyński, furman p. J. Zembrzuskiego, obwoził mnie po lasach swego pana do unitów, ale on nie tylko ze mną jeździł: on też wioził archiereja ze st. Siedlec do Hołudli i Czołomyj. Opowiadał mi Górzyński, że unicy wtedy obrzucili archiereja kamieniami, ale nikogo nie zdołano przyłapać, bo się w porę ukryli i dowodów nie było. Wieś Czołomyje uchodziła za mniej uporną i prawie za prawosławną. Jednak, gdy przybył z wizytacją archierej, to musiał sam starosta cerkiewny — wójt Czechowicz dzwonić na zebranie prawosławnych i na powitanie ich biskupa. Ale bezsku-

teczenie, bo stawiała się tylko policja, starszyzna cerkiewna i gminna, a Jakób Pliszka, katolik, wynajął się za 3 rb. do niesienia krzyża w procesji. Mizernie wyglądała ta ich procesja tryumfalna.

Łukasz Kowalczyk, tercjarz, zasłużony działacz, prowodyr, mający duże stosunki z Warszawą i Krakowem i ze studentami i z działaczami politycznymi. On to sprowadził obraz MB „Nieust. Pomocy” z Rzymu do kościoła w Krześlinie, czem przyciągnął wielu unitów do Kościoła św... On był „majstrem” do urządzania większych zgromadzeń Unitów—do „misyj”. Jedna z takich misyj była na borowinie w szopie dworskiej, w lesie zwanym „**Cząstka**”. Na tej misji dwudniowej przewinęło się parę tysięcy unitów. Były nawet odprawione Msze św., kazania, pierwsza Komunia św. dla dzieci. Oczywiście była i spowiedź i chrzty i śluby bardzo liczne. Lasy i drogi wtedy były obstawione strażą unicką i pilnie strzeżone, by jakie szpiegi i policja nie wkroczyły. Druga misja przez niego zorganizowana odbyła się w lesie **Stok Ruski**. Ta była mniej liczna, ale nie mniej wydatna w owoce i w nadzwyczaj podniosłej atmosferze i rozrzewnieniu. Jedna i druga szczęśliwie odbyły się bez żadnych wypadków. Łukasz Kowalczyk głównie pomagał „Rózi Barańczuk” w wykradaniu dzieci bezdomnych z Wirowa, a jeszcze więcej w rozmieszczaniu tych dzieci w stronach katolickich. Wiele, wiele, ten niecnota dla prawosławia, Łukasz mnie się naprzykrzył, ale jego brawura mnie podniecała i zawsze byłem na jego żądanie.

W lesie „Psiarnia” koło Wyrozęb, Łukasz Kowalczyk urządził też dość liczną misję — odpust dla obsługi unitów dla tamtych okolic. Taką misję odbyła się **w lasach dóbr Korczew**. Organizował ją głównie Stanisław Staszewski wspólnie z Łukaszem. W tej misji brało udział ze 30 studentów Uniwersytetu Warsz. **Stanisław Staszewski**, to typowy szlachcic z ogromną brodą, działacz niepośledni, mający duże zasługi w sprawie unitów. Staszewski opisał wszystko w swych pamiętnikach, które złożył u Piotra Wiącka w Warszawie, ul. Koszykowa... ale tu ich nie znalazłem. Łukasz Kowalczyk i Stanisław Staszewski działali dla unitów i polskości, ale zdaje mi się, że więcej z pobudek politycznych, niż religijnych. Że Łukasza Kowalczyka Moskale nie nakryli gdzie, to nie umiem sobie tego wytłumaczyć, czy on miał takie szczęście, czy spryt, czy też łaska Boża go pilnowała. Bo był wielkim działaczem.

Józef Chwedoruk zorganizował misję dla unitów w lesie między wsiami **Kożuszki, Łuniew i Mosty**. Ta misja była bardzo liczna, brało w niej udział paru księży oprócz mnie (Ks. R. Słapczyński i Ks. Wesołowski), trwała przez dwa dni. Jaki był wtedy entuzjazm i rozrzewnienie ludu, trudno byłoby mi opisać. W urządzaniu większych zebrań dla obsługi unitów, Józefowi Chwedorukowi pomagał „**Marcinek Michalak**“ z Czołomyj, gorliwy tercjarz, prowodyr, działacz. Michalakowi chrzcilem wszystkie dzieci, w jego domu często bywałem i wiele w jego domu ochrzciłem dzieci unickich i wiele z jego poręki związałem ślubów małżeńskich, między innymi: Borsukom, Franciszkowi Rogowicz, Leonowi Karabin z Czołomyj.

Łukasz i Tomasz Jarociuki z Ogrodnik, byli prowodyrami i doprowadzali do mnie unitów z dziećmi do chrztu, pary młodych do ślubu.

Józef Łopaciuk z Hołubli, którego ojciec był strasznie prześladowany i więziony coś 30 lat, również był prowodyrem i wielu unitów do mnie sprowadził do ich obsługi. Zasłużonymi w sprawie unickiej byli: **Jan Łopaciuk** z Czepielina, dość zasłużony prowodyr i działacz, Andrzej Chodowiec z żoną i Michał Parafinczuk, którzy ułatwiali unitom dostęp do kapłana lub w swoich domach unitów gromadzili i kapłana sprowadzali do ich obsługi.

Jan Iwański z Hołubli, prowodyr z Hołubli... Michał Łukawski z Hołubli łatwo przyjął prawosławję, lecz, uczestnicząc raz na misji dla unitów, nawrócił się i za to był prześladowany; za postawienie krzyża na drodze zapłacił 80 rb. kontrybucji, siedział w więzieniu w Siedlcach, wkońcu był wywieziony do Kijowa na wygnanie, gdzie wiele cierpiał i tam umarł.

Wawrzyniec Zabuski, z Hołubli, gorliwy unita i terejarz i prowodyr, rodzina jego starsza — to męczennicy wszyscy, sam bardzo prześladowany przez popa Pawłowskiego z Hołubli i przez strażnika Kiryła. Zabuski zrobił sobie ołtarzyk-obraz w domu, w czym dopatrywano, że to jest kościół dla unitów dla ich odwracania od cerkwi prawosł. Człowiek ten budował mnie swą gorliwością i pobożnością i rzeczywiście jakby promieniował temi cnotami.

Hołubla. Hołubla — wieś święta i męczenna. W tej wsi i parafji było tylko 19-tu gospodarzy i rodziun unickich. Wszyscy oni w r. 1867 przy kasowaniu ołtarzy

i organów byli przez Kalińskiego, naczelnika z Siedlec, wielkiego tyrańca, schłostani nahałami, a w r. 1872 przy wprowadzaniu do cerkwi urządzeń prawosławnych i instalowaniu popa wszyscy ci unicy byli okrutnie skatowani i leżeli nieprzytomni przez noc na śniegu, a po upływie pół roku, gdy już jako tako przyszli do siebie, byli zabrani do więzienia w Siedlcach, a nadto nałożono na nich wielką kontrybucję, licytowano im dobytek i sprzęty... Wreszcie w r. 1875 tenże Kaliński otoczył wieś kozakami i zwołał wszystkich unitów i kazał im podpisać się, że zostają prawosławnymi, że będą chodzić do cerkwi prawosławnej i będą chrzczyć dzieci i zawierać śluby po prawosławnemu. Unicy odmówili. Wtedy za karę rozlokował secinę kozaków pomiędzy tych 19-tu gospodarzy, nakazał dziennie płacić kozakowi pół rubla, a na konia dawać sześć garncy owsa i siana ile trzeba, a gdyby kto tego nie regulował, to mu zabierać dobytek, trzodę, owce i sprzęty. Postój kozacki trwał 6 tygodni; swawola kozaków nie miała granic; wieś była zupełnie zrujnowana. Przybył znowu Kaliński, zwołał unitów pod figurę św. Rocha, przy **krzyżu „cholerycznym“** na drodze zwanej „krzyżową“. Unicy otoczyli krzyż i, padłszy na kolana, modlili się jak przed śmiercią. Naczelnik zapytał, czy się już namyślili przyjąć „potwierdzenie wiary“? Unicy jednogłośnie odpowiedzieli: „wiary swej nie odstąpimy, a przy tym krzyżu gotowiśmy znieść wszystko. Możesz nas obłożyć drzewem wokoło i tak wysoko jak ten krzyż i zapalić nas na śmierć, a odszczerpienia nie przyjmujemy“. Rozpoczęła się krwawa egzekucja sześciodniowa: po kilka razy dziennie bito biednych wyznawców, wymierzając im po 100—200 nahałeczek i pytając za każdym razem, czy „utwierdzenie wiary przyjmą“. Katowanie to odbywało się na mrozie. Ziemia i śnieg były zbрызane krwią; skatowani leżeli nieprzytomni, a ciała ich „odpadało od kości“, krew wypływała im przez cholewy z butów. Katowanie to trwało nieustannie przez tydzień. Wszyscy ci męczennicy nie tylko byli bici, nie tylko broczyli we krwi własnej, a ciała ich odpadało od kości, lecz po całym ciele byli okryci strasznymi ranami i sińcami od pobicia, że po trzech miesiącach zaledwie można było rozpoznać ich podobieństwo do ludzi. Felcerzy z litości zszywali im usta, poranione i poszarpane twarze; przyszywali im poderwane uszy i nosy, prostowali wybite szczyki. Późem zabrano ich wszystkich do więzienia w Siedlcach.

Gdy już mężczyźni nie było we wsi, zabrano się do **kobiet i dzieci**. Kaliński kazał kobiety pędzić do lasu z siekierami i rąbać i znosić drzewo pod kotły kozackie. Wreszcie kazał wszystkie kobiety bez różnicy bić i katować, jeżeli nie przyjmą prawosławia i nie dadzą dzieci do chrztu prawosławnego. Pod tymi razami skołała Apolonja Lis. Straszne były sceny z odbieraniem dzieci matkom do chrztu prawosławnego. Co za straszny był widok i jęki matek, gdy same były zbite i skrępowane powrozami, a dzieci były im zabierane do cerkwi do chrztu. Najwięcej cudów wytrwałości i cierpień jednocześnie wykazały: Barbara **Chodowiec**, Marjanna **Chodowiec**, Józefa **Wojciuk** i Joanna **Wojciuk** i „Trochimaczka“. Wśród scen barbarzyńskich ludzie dorośli ginęli z pobicia, z odebranych mąk i z nędzy, ale też wiele bardzo ginęło dzieci unickich z przerażenia, braku opieki i nędzy. Podczas gdy lud katowano, więziono, kozactwo wyróżnęło wszystko było i trzodę we wsi, a śpichrze unitów świeciły pustkami.

Pomarli śmiercią męczeńską w Hołubli: Jan **Łopaciuk**, Teodor **Wojciuk**, Mikołaj **Klimiuk**, Jan **Lis**, Paweł **Wiigórski**.

Wywiezieni zostali do gub. Hersonskiej: Piotr **Zabuski**, brat Wawrzyńca, Marcin **Wojciuk**, Wawrzyniec **Wojciuk**, Tomasz **Szelech**, Józef **Ogrodniczuk**, Paweł **Chodowiec**, Jan **Borsuk**, Jan **Chodowiec**, Jan **Klimczuk**, Jakób **Jeronimiuk**, Stefan **Karabin**, Paweł **Chodowiec**, Karol **Radczuk**, Michał **Andrzejczuk**, Wawrzyniec **Łopaciuk**, Mateusz **Chodowiec**, Andrzej **Klimiuk**, Jan **Trochimiuk**, Jan **Łopaciuk**.*).

Z powodu braku zdrowia i ran niezagojonych nie zostali wywiezieni, lecz prędko wymarli: Piotr **Wołosziuk**, Jan **Bokowiec**, Kazimierz **Chodowiec**, Jan **Ogrodniczuk**. Od czasu pobicia do śmierci więcej oni leżeli, jak chodzili.

Z 19-tu wywiezionych do Hersonia powróciło do kraju tylko 7-iu, a reszta zmarła tam w nędzy i cierpieniach. W Rosji na wygnaniu byli lat 30. **Andrzejczuk** Michał uciekł z Rosji drogą okrężną do Krakowa, a w r. 1924 mieszkał i żył jeszcze w Szydłowiec: 5 lat był w Hersoniu. w dzień Św. Rafała mieszkańcy prawosławni Hersonia ułatwili mu ucieczkę. bo dali mu paszport. pieniądze na drogę. Po różnych kolejach losu podróży wreszcie przybył do Hołubli, lecz bojąc się moskali, po dwóch dniach uciekł do Krakowa i tu u SS. Wizytok służył 15 lat; był też jakiś czas

*) Cfr. Ks. Pruszkowski „Martyrologium“, t. I, parafia Hołubla.

u Ks. Harmaty w Bielinach, potem był w Próchenkach, a w końcu w Szydłowie. Uciekł z Hersonia razem z **Piotrem Żarkiewiczem** z Hołowna k. Parczewa. Żarkiewicz zamieszkał przy swym synie, księdzu Żarkiewiczu, parafji Monastyr w Galicji. M. Andrzejczuk tego syna Żarkiewicza, późniejszego księdza, przenosił przez granicę rosyjsko-austriacką, pomagając ojcu. Drugi z wygnańców, który wrócił z Hersonia i żył w r. 1924 w Siedlcach, jako stróż, był to **Jan Chodowiec**. Trzeci z nich **Jan Klimczuk**. Krzyż ten „choleryczny“, przy którym odbyło się to straszne męczeństwo unitów w Hołubli, był przez ludność zawsze czczony jako świętość. Cała wieś mi potwierdzała jako prawdę, że przy tym krzyżu były uzdrowienia cudowne. **Każda wieś unicka na Podlasiu** ma swoją ciekawą historję, a Hołubla bodaj trzyma w tem prym. Szkoda wielka, że tą wsią, jak i innemi, tak mało ludzie obecnie się zainteresowali. Przecież w tej wsi, z wyjątkiem 7-iu rodzin łacińskich, wszyscy literalnie co do jednego gospodarze, ich żony, dzieci i krewni to męczennicy; w roku 1875 wszyscy byli wywiezieni gospodarze ze wsi; przecież w tej wsi każdy dom, każda ścieżka, każda figura jest pamiątką bohaterskiej walki z przemocą i niewolą moskiewską. Szczęśliwy jestem, że w wsi tej był częstym gościem, że znał niektórych tych starych męczenników, że obsługiwał ich dzieci i krewnych w czasach utrapienia, że poświęcił im domy i budynki. Cześć bohaterom-męczennikom z Hołubli!

Muszę zrobić tu ważne wyjaśnienie historyczne, dla lepszego zrozumienia cierpień unitów: Moskale od r. 1867 do r. 1875, a zwłaszcza w tym ostatnim roku prześladowali, unitów katowaniem, mordowaniem i przelewem krwi, a od r. 1875 „nie męczeństwem i rozlewem krwi, lecz więzieniem, pieniężnymi karami i wysyłką w głąb Rosji zmuszano ich do uległości i karano ich tak za pogardę okazywaną prawosławju“, rezygnując już z nawracania ich na prawosławje „według słów cesarzowej Marii Aleksandrowny“ (Gołos, Noweje Wremia, Chołmsko Eparchialnyje Wiedomosti z r. 1875).

Piotr Prokopiuk i jego żona Zofja ze Stoku Ruskiego, gorliwi unici. Piotr był furmanem u p. Wenera, nadleśnego. U Prokopiuków odbywały się zjazdy unitów, u nich ochrzciłem wiele dzieci i związałem wiele par małżeństwem. Przedtem Prokopiuk z Emilem Łopaciukiem z Czołomyj zorganizowali ludność unicką, by się zapisywała przy spisie ludności, jako katolicka.

A gdy wbrew woli ludności pisarz Porodko i psalomszczyk Czerniakow zapisali ludność jako prawosławną, to unici odebrali im te spisy, a samego Czerniakowa obili i połamali mu graty w mieszkaniu. Przywódcą unitów był Prokopiuk. Przybył komisarz Ulanicki z dwoma oficerami dragonów i naczelnik żandarmów na śledztwo. Zabrali wielu buntowszczyków do więzienia, ale Sąd Okręgowy uwolnił aresztowanych: „Psalomszczykowi wygovor, a ludzi oprawdat“. Szczęśliwie, że ich sądzono, a nie karano administracyjnie. Piotr Prokopiuk wraz z Łukaszem Kowalczykiem urządził duży zjazd unitów w końcu lipca 1904 r. w dzień jarmarczny. Uroczystość ta była dobrze i długo planowana. Zjazd odbył się w lesie zw. „**Pastewnik**“. Rezultat wielkiej misji, bo ochrzciłem około setki dzieci, wypowiadałem parę set osób, ślubów było 17, przyjąłem wielu do bractw i tercyjarstwa, powiedziałem kilka nauk, rozdałem wiele dewocjonalji i książeczek. Uczestnicy złożyli przysięgę sekretu i wytrwałości. Ja byłem przebrany za studenta. Las był obstawiony przez nasze strażę. W tych wielkich lasach czułem się spokojnym. Przywiózł mnie i odwiózł Prokopiuk. Ochrzciłem wtedy pomiędzy innymi dziećmi Jana Prokopiuka i Ładę Tarasiuk, innych nie pomnę.

Niedaleko olszynki, koło mostu na drodze z **Czołomyj ku Ogrodnikom**, wystawiła ładny krzyż Anna Sawiak. Ja krzyż ten poświęciłem. Na krzyżu był obraz Matki B. Nieust. P., czczony nawet przez moskali i marjawitów. Moskale w „Chołmskom listku“ z 1908 r. Nr. 23 — 24 opisali, że ja miałem ten obraz M. B. N. P. sprofanować, zeszpecić, twarz M. B. zniekształcić, oczy wykluć, podeptać, czego oczywiście nie było.

Na drodze z **Czołomyj do Hołubli** stał krzyż z 1832 r., drzewiany, wystawiony przez Hardjewskiego St.; powszechnie mówiono, że przy tym krzyżu straszy coś, straszyć miało i X. Ładę, proboszcza unickiego z Hołubli, dobrego katolika. Ponieważ krzyż ten się już walił ze starości, podparto go nowym krzyżem w r. 1905 na pamiątkę wolności religijnej. Ludzie tłumaczyli, że nowy krzyż wolności wiary odpędzi stare strachy i widma przeszłości.

Dawidy. Dawidy — wieś kochana, miała wielu, wielu dzielnych bohaterów, świętych męczenników. **Antoni Chwedoruk** był strasznie prześladowany i męczony. Józef Chwedoruk był jego bratem. O Józefie napiszę obszernie. Siostry ich Marjáanna i Tekla nadzwyczaj dzielne, czynne i święte. **Bratanek Józefa Paweł** robił jako cieśla krzyże do stawiania

ich na drogach i polach. Cała ich rodzina dzielaa, święta, zasłużona dla unitów.

Władysław Hryciuk też robił krzyże dla całych okolic, był towarzyszem Józefa, woził mnie z Mórd do Dawidów i z powrotem. On sam twierdzi, że był świadkiem ochrzczenia przezemnie ze 300 dzieci z okolic i poświęcenia wielu krzyżów jego roboty; on mnie trzy razy woził do wiosek unickich.

W domu Jana i Ewy Jaszczuków (Melan ich dziadek) dzieci chrzcilem, a starsze katechizowałem. **Jan Jaszczuk** woził mnie ze Zbuczyna do Krzewicy w obydwie strony, a raz do Olszanki. Odwiózł mnie wtedy z Dawidów, gdym tu poświęcił dwa krzyże: za wsią i przy 3-ch topolach. Niezmiernie to dzielna rodzina. Ich dziadka **Melana Demianiuka** strasznie męczono. Natalia Demianiuk, zacna i gorliwa tercjarka unitka, jej ojca też okrutnie zbito: tak był okrwawiony, że go w krwi i ranach poznać było trudno; więziony był w Białej. Natalia za to, że ojca broniła, też mocno była zbita, choć miała dopiero lat 15. Ona była świadkiem, jak **Jana Makaruka** męczono przy cerkwi w Próchenkach, że był omdlały zupełnie i długo leżał bez przytomności. Przytem zmuszono **Pawła Jaszczuka**, by Makaruka po tej kaźni odwiózł do gminy w Olszance na nowe męczarnie, ale go nie dowiózł, bo mu w drodze pod karczmą w Próchenkach umarł. Znęcano się też okrutnie nad Melanem Jaszczukiem, bratem Józefa i Antoniego, nad Andrzejem Jaszczukiem i Hwedorem Wasilukiem.

Wieś Dawidy, jak Hołubla, była zupełnie zniszczona materialnie, a wszyscy niemal gospodarze, to męczennicy. We wsi był tylko jęk rannych mężczyzn i niektórych kobiet, płacz głodnych dzieci, a reszta siedziała w więzieniach; chlewy i spichrze były puste, rozgrabione przez kozaków pod wodzą Klimenki, w latach 1867, 74, 75. Od 15 lutego do 1 marca 1875 batożona była wieś codziennie, mężczyźni dostawali 100—200 nahałów, a kobiety 50—100, a nawet dzieci od lat 15-tu dostawały do 50 nahałok. Choroba nie wymawiała nikogo od chłosty, gdyż ich zwożono i batożono (100 nah.). Kozacy zajmowali ich domy, a ludność unicka chlewy. Znałem wielu tych bohaterów-męczenników i ich obsługiwałem. Wieś tę obsługiwali XX. Pleszczyński, Ostałowski i Jan Dąbrowski w swym czasie.

Józef Chwedoruk. Józef Chwedoruk z Dawidów, sławny, dzielny prowodyr na szerokie okolice, pobożny tercjarz, gorliwy unita. Umarł 8 maja 1906 roku. Dzień swej śmierci

i pogrzebu przepowiedział na kilka tygodni przedtem. Przyczyną jego śmierci było zaziębienie, a jeszcze bliższą—to zgniecenie go i to ustawiczne poniewieranie się dla dobra swych braci unitów. Co do „zgniecenia“ to było tak: wywoził on mnie z Mórd na misję do Szydłówki w r. 1904. W Mordach pod mostem kolejowym konie w ciemności nie chciały w żaden sposób przejść. Józef zsiadł z wozu i prowadził konie za uzdy; nagle konie raptem szarpnęły i ruszyły a Józefa mocno przygniotły do muru tunelowego. Potłuczoną miał klatkę piersiową i żebra, ledwo oddychał. Pod groźbą jednak niebezpieczeństwa wgramolił się na wóz i zawiózł mnie na misję b. owocną... Ale już od tej pory stale kwękał. A ileż on się namroził, namęczył, wożąc mnie nocami w najgorsze pogody, a bywał lekko ubrany, bo był trochę elegant i by było mu łatwiej uciekać od pościgu wroga, na co był stale narażony. Nie do spał, nie dojadł, nigdy prawie nie odpoczywał, nigdy nie ustawał w swej gorliwości. Skąd doprawdy brał siły i tyle hartu i odwagi? Doprawdy łaska i opieka Boża była z nim. Stale był w drodze i na szerokich terenach unji wyławiał dusze prawosławju i doprowadzał je do spowiedzi i Komunii św., do chrztu i ślubów. Bądź też sprowadzał kapłanów zwł. do chorych unitów. Po parę razy w tygodniu, a nieraz noc w noc wyjeżdżaliśmy na wycieczki misyjne. Podziw wzbudzał on swoją gorliwością, niezmordowaniem i poświęceniem, a był on w tej pracy bezinteresownym, wszystko za „Bóg zapłać“. Miłość Boga i bliźnich uciśnionych do tych wysiłków go pchały. Ze 12 kilometrów miał drogi z Dawidów do Mórd, a latem i zimą przy najgorszej szarudze i błocie zawsze prawie pierwszy był w kościele na „Godzinkach i Różańcu“ i do Komunii św. (Podobnież Rózie, Teklusie, Tereski — tercjarki, prowodyrki unitki). Budująca była tych unitów gorliwość i pobożność. Święci ludzie, piękne czasy. Dzisiejsi ludzie, zwł. młodzież, nie są zdolni nawet zrozumieć jakie były czasy i jacy ludzie.

Józef w ostatnich dniach swego życia zwoływał kolegów, koleżanki i przyjaciół i upominał ich, by żyli wzorowo, by stali wytrwale przy wierze św., by byli pobożnymi, a doczekają się nagrody i wolności religijnej. Odmawiał z nimi Różaniec, przepraszał ich, i mówił, że „umrze prędko, bo w dzień św. Stanisława“. Gdy nie miał już sił, kazał się wynosić na dwór pod krzyż i tu odprawiał majowe nabożeństwo. Przed ostatniego dnia mówił, że jutro umrze po majówce. Na drugi dzień zwołał wszystkich, zachęcał do wytrwałości, poczem pieniądze swoje, ciężko zarobione

ciesielką i stolarką, rozdał na ubogich, na kościoły i na Msze św. i kazał sobie posłać słomy na ziemi, trzymając krzyż i gromnicę w rękach, jak zapowiedział, umarł bardzo świętobliwie, w dniu oznaczonym. W ciągu niecałego tygodnia przed śmiercią dwa razy był u św. spowiedzi, raz w Mordach, bo mówił: „Tam chodziłem najwięcej do kościoła, tam w niewoli była moja parafia, tam chcę się na śmierć wyspowiadać” i drugi raz w Hadynowie.

W domu Józefa, za jego życia, zbierały się gromady unitów i on sprowadzał im kapłana. Ja byłem u niego 5 razy do obsługi jego gości. On był zelatorem kółek różańcowych i tercjjarstwa w okolicy, miał ogromny wpływ u ludności. Sprawił do kościoła w Hadynowie stację drogi krzyżowej. Cała wieś świadczy, że on mówił: „ostatni to jest post smutny w r. 1905, bo w tym już roku na Wielkanoc ksiądz katolicki publicznie poświęci nam Paschę”. I rzeczywiście w tymże roku wyszedł ukaz o „Tolerancji Religijnej”. A wiadomo, że księdzu kat. we wsi unickiej nie wolno było w W. Sobotę poświęcać baranka wielkanocnego. W niniejszych wspomnieniach imię Józefa często powtarzam. Bliższy stosunek, wspólne przeżycia nas łączyły. Z rozczuleniem dziś jego postać sobie uprzytomniam i jego wielkiej czystej duszy oraz nieocenionym zasługom cześć składam!

Maksym z Łukowca sprowadzał unitów do Józefa lub jego bratanka Pawła Chwedoruka, a ci doprowadzali ich do mnie. Z ich poręki ogromne masy unitów obsłużyłem. Sam Paweł doprowadził do ślubu ze 60 par, a co mówić o Józefie? W domu **Władysława Stefaniuka** bywałem nieraz. On z siostrami Ewą i Marianną, to zacni i gorliwi unicy, dzielni ludzie. Anielę Jaszczuk chrzcilem u Teklusi Borysiuk w Olszance.

Należało się w gminie Olszance bać wtedy: wójta Macieja Mikiciuka, pisarza Prolewskiego, popa Szupity i strażnika z ryżą brodą Łobanowskiego. Jan Jaszczuk z Dawidów jeszcze wozili mnie na misję do Łepok, do Korczówki: raz do Hawryluków i raz do **Tereski Nikonianki na borowinie**, do Olszanki do Tekli Borysiuk, do Stefana Demianiuka, brata Natalji w Próchenkach i wreszcie razem z „Józefem” do Szydłówki do Jana Kuśmierczuka i Józefa Bartosiuka (żona jego Ulisia).

Szydłówka. Szydłówka, wieś ogromna, ale mająca wówczas sporo pierekińczyków. Na pamięć zasługuje w tej wsi rodzina **Maciejuków**, cała ta rodzina po okrut-

nem męczeństwie wywieziona została do Rosji, (ojciec, siostra, dwóch braci: jeden Andrzej, drugi Stefan). Z wygnania wrócił Stefan z siostrą. Ich majątek został skonfiskowany i sprzedany prawosławnemu Józefowi Czeczko, po r. 1905 katolikowi. Stefan z siostrą muszą się tułać po obcych kątach (u Józefa Oleksiuka) a za co? za wiarę i polskość, za obrazki i książki, elementarze polskie, kółka różańcowe. **W Sądach Polskich toczyła się sprawa o odzyskanie majątku, zdaje się bez skutku pomyślnego. A jednak powinni oni znaleźć sprawiedliwość u swojego Rządu!**

Z wygnania wróciła też Katarzyna Daciewicz, lecz potem wstąpiła do zakonu. W Szydłowie byłem w domu Józefa Jaszczyka, sprowadziła mnie tu Ulisia Bartosiuk. Byłem następnie w domu Aleksandra Marciniuka i Jana Kuśmierczuka, któremu ochrzciłem wszystkie dzieci; dom i zabudowania poświęciłem. Żona jego Anna z Prokoptuków. W r. 1904, późnej jesieni Józef zorganizował Zjazd Unitów w Szydłowie.

Olszanka. Olszanka, wieś ogromna, gorliwa, unicka. Główną działaczką, prowodyrką w tej wsi była **Teklusia Borysiuk.** Miałem w jej domu punkt zborny. Teklusia, to gorliwa, niezmordowana, przebiegła wobec moskali i pobożna tercjarka. Ileż ta dziewczyna dała czynów swej odwagi, poświęcenia i gorliwości. Nie ustępowała tylko Józefowi Chwedoruk i Rózi Barańczuk. Zawsze była ona w drodze. W najgorsze zadymki, w wielki mróz, w najciemniejszą noc czy o wczesnym świcie czuwała ze swymi pupilkami, t. j. unitami, potrzebującymi posługi religijnej, wtulona gdzie we wnękę kościelną lub przytulona gdzie pod drzewem, czekając na mnie—księdza, bym jej klientów załatwił, wyśpowiadał, ochrzcił, dał ślub, lub w tym celu pojechał z nią do unitów umierających, wołających o księdza ze św. Sakramentami. Miała z Olszanki do Mord ładnych parę mil, a już od świtu czekała na otwarcie kościoła, by się wyśpowiadać, komunikować i innym to ułatwić. Okryty często jej wełnianą, grubą chustką jechałem z nią do wiosek unickich. Takiej wytrwałości i takiego poświęcenia dla bliźnich chyba dziś się już nie spotka. A ileż razy włóczyli ją moskale po różnych kozach i sądach? Ile wycierpiała sama? Nie dziwnego, że w końcu rozchorowała się, już po tolerancji. i umarła w wielkiej nędzy na chorobę umysłową. W tych ciężkich dla niej chwilach, ta ofiara swej gor-

liwości, nie miała dostatecznej opieki. Ratowała ją w nędzy, towarzyszyła w pracy, Andzia Melaniuk z Łeppek. Umarła w r. 1923. Żał, że ta bohaterka, takiej wartości, umarła w nędzy. Warta ona nie tylko tych wspomnień, ale i pomnika. Ze łzami w oczach piszę niniejsze o niej notatki. Matka Teklusi, Zofja, staruszka, żyła jeszcze w r. 1924, była ona bardzo prześladowana i bita przez moskali za wiarę.

Gdym raz był w domu u Teklusi, strażnicy moskiewscy nadeszli, ale ja zdążyłem uciec przez ogród do Antoniego Jaszczuka, a potem do Szydłówki do Aleksandra Marciniuka. Świadkiem tego zdarzenia była i Anna Jaszczuk z Dawidów oraz Antoni Jaszczuk z siostrą.

Paweł Andrzejczuk, Roman Andrzejczuk i dwie ich córki byli strasznie męczeni i w końcu wywiezieni do Orenburga. Wywieziony był też **Michał Piotruk, Andrzej Stefaniuk**, Przed tem okrutnie mordowano ich przy krzyżu obok urzędu gminnego w Olszance. Męczono też tu **Jakóba Saczuka**.

Byłem w Olszance u **Pawła Stefaniuka**. Paweł Romańniuk przywiózł dwoje swoich dzieci do Dawidów, które mu ochrzciłem, jednego zaś syna jego przyjąłem do I spowiedzi i Kom. św.

Konstanty Jaszczuk z Próchenek, był prowodyrem i doprowadzał unitów do księży. Był u niego Ks. R. Słapeczyński z Siedlec. Pawłowi Stefaniukowi z Olszanki i Annie Jaszczuk z Korczówki dałem ślub na odpuszcie w Knychówku. Byłem u Grzegorza Jarczuka w Olszance, dzieci mu chrzciłem, poświęciłem dom. W Korczówce byłem u **Piotra Ptaszka**, sprowadzony przez Teresę Nikoniankę. W Pruchenkach byłem u **Jakóba Andrzejczuka** i w 3-ch innych domach, ale nie załatwiwszy wszystkiego, musiałem zmykać, gdyż strażnicy ukazali się we wsi. Uciekłem wtedy do Szydłówki i Andrzej Iwańczuk s. Maksyma, odwiózł mnie do domu. W **Czuchlebach** byłem dwa razy. Tu prowodyrem był Benedykt Chomiuk. Poświęciłem 4 krzyże: 1) na drodze z Łosic do Hadynowa, 2) na białskim trakcie z Łosic k. cmentarza, 3) na drodze przy polu gospodarza—„Dunajki“, 4) na drodze z Łosic do Hołycz, na skrócie drogi, koło krzyża murowanego.

Byłem w Łosicach u Jana Romiuka, bardzo prześladowanego przez moskali. Inni prowodyrowie: Teodor Jakimiuk z Mostowa, Stefan Szymonowicz z Krawiec, kolega Onufra Hawryluka, Teodor Dorofiniuk, zdzierca, za oszustwa uciekł do Częstochowy, a potem do Odesy. Andzia Melaniuk (ut supra) z Łeppek, wysokiego wzrostu,

dużo robiła dobrego unitom, opiekowała się Teklusią Borysiuk. Teresa Oleksiuk z Łeppek, umarła 2.VIII 1924, byłem na jej pogrzebie, bardzo za życia wpływowa i dzielna, z jej poręki dużo zrobiłem unitom.

W Łysowie był wtedy pop Józef Omelanowicz, prześladowca unitów, urodzony w Łosicach z rodziców katolików, pierekinczyk, brat jego był księdzem katolickim. Wójtem w Łysowie był Kozłowski, szlachcic, prześladowca unitów, zabierał unitom ostatnie graty na kontrybucje i sprzedawał żydom za bezcen.

Byłem w Patkowie u Józefa Dymitruka ze św. Sakramentami do jego córki. Byłem w Dzieciołach u chorego, w Świnarowie dzieci chrzcilem, w Olszance u Teodora Grzegorzcyka i tu dzieci chrzcilem.

Teresa Piotruk z Olszanki, bardzo gorliwa unitka, córka matki katolickiej i ojca unity-Mikołaja, strasznie prześladowanego i katowanego, a w końcu wywiezionego do Hersońskiej gub., gdzie umarł.

Mikołaj Andrzejczuk i Anna Andrzejczuk z Próchenek okrutnie mordowani w domu, na drodze i szkole; ubranie ich całe było zbroczone kałem krwi, a ciała poorane ranami i spuchnięte... Córka ich Marjanna Lewczukowa żyje.

Byłem w domu **Andrzeja Pawluka** w Łepkach parę razy, tu ochrzciłem przeszło sto dzieci, wielu połączyłem ślubem. W Łepkach było sześć panien, które były prowodyrkami, same były męczzone i prześladowane, one były łącznikami unitów ze mną. W r. 1924 żyła tylko Barbara Kondraciuk i **Katarzyna Saczyńska**; mąż jej też był gorliwym unitą, prowodyrem, w obronie unitów cierpiał, był u nich autorytetem jako piśmienny, krzewił oświatę, siedział w więzieniu w Siedleach, Białej i Brześciu. Z owym Saczyńskim wiele pracowałem. Jego pierwsza żona zmarła, dlatego jej męża nie wywieziono do Rosji. Wszystkie dzieci im chrzcilem. Święci to byli ludzie. Cześć ich pamięci!

U Tomasza Morwy, chrzestnego ojca Rózi Baranczuk, w Czuchlebach ochrzciłem 76 dzieci, dałem 7 ślubów i wydysponowałem 3-ch chorych.

W opisie wioski Olszanki, Próchenek, Dawidów, Szydłówki i Korczówki wspominam często o znęcaniu się i biciu unitów, nie wyjaśniłem jednak, kiedy to było i kto był tym oprawcą. Muszę więc przynajmniej krótką dać wzmiankę o tem. Wioski te wchodziły w skład parafji unickiej Próchenki, a gminy Olszanka. Jedna i ta

sama komisja moskiewska, według jednej metody, oraz w jednym czasie, tu operowała. **Mianowicie: w r. 1867** za obronę organów i ołtarzy katolicko-unickich, a za pogardę dla nowości prawosławnych, wprowadzonych do ich świątyni, blisko 100 unitów odsiedziało 6-cio miesięczny areszt w więzieniu bialskim i siedleckim, a wszyscy unicy płacili wysoką kontrybucję. **W r. 1874** za nieprzyjęcie i nieuznanie popa W. Makowskiego cała parafia zapłaciła kontrybucję po 5 rb. z domu; wpływowsi unicy nadto musieli odsiedzieć 3-y miesięczny areszt w Białej i nałożono na nich tak wielką kontrybucję, iż nie mogli jej zapłacić. Słowem zniszczono ich zupełnie materialnie. **W r. 1874, 15 lutego** umieszczono w tych wsiach 2 rotę piechoty i 400 kozaków; **18 lutego** nacz. Kilimenko zgromadził parafjan przed szkołą w Próchenkach i żądał od nich, by przyjęli prawosławie i chrzcili dzieci po prawosławiemu. A gdy jednogłośnie odmówiono temu żądaniu, nakazał ten tyran okładać codziennie do 1 marca unitów nahajkami, wymierzając je na raz po 100 — 200 mężczyznom, kobietom 50 — 100, a dzieciom od lat 15-tu do 50 nahajów. Wszyscy ci unicy zwoływani byli każdego dnia przed szkołą, a jeżeli kto z rannych się nie stawił, to go przywożono siłą i za opór jeszcze większą otrzymywał karę. Choroba nie wymawiała nikogo, konający nawet byli strasznie batożeni.

Od 1 marca Klimenko wymyślił inny sposób męczarni: wszystkich unitów z całej gminy od 15 lat wieku zganiał do wsi Olszanki, a w miejscu, gdzie było najwięcej śniegu i gdzie najbardziej wiało, kozacy rozstawiali mężczyzn osobno a kobiety z dziećmi osobno, zdzierano ze wszystkich ubrania zwierzechnie i nakrycia z głowy i pilnowano, by każdy twarzą pod wiatr stał od świtu do ciemnej nocy, codziennie, przez 3 tygodnie. I tak, o zgrozo, ci męczennicy, wśród największych burz i zamieci, marcowych, stali pod gołym niebem z odkrytą głową, z rozczochanymi włosami, czarni i opuchnięci jak posągi, płaczem i kaszlem tylko dający znaki życia! Wielu z unitów się rozchorowało śmiertelnie. Za łaskę też wielką unicy uważali, jeżeli mdlejących zwalniano od nieruchomego stania na mrozie, i kazano im zgarniać śnieg rękami z jednej kupy na drugą, a po pewnym czasie znów ich ustawiano w dawne miejsce kary.

Pod nahajkami i z przeziębienia umarł **Jan Antoniak**, dostawszy 500 nahajek, **Józefat Hryciuk** dostał 500 nahajek, zbite ciało odpadało mu od kości, skonał w męczarniach. **Paweł Ju-**

styciuk, Lewczukowa podobnie i 16-to letni chłopiec, **Paweł Ignaciuk**, za swoją śmiałość dostał 400 nahałek i skonał jako męczennik*).

Wywieziono w głąb Rosji: Andrzeja **Samczuka**, Michała **Plotruka**, Filipa **Plotruka**, Spiridjona **Andrzejczuka**, Józefata **Maciejuka**, Jana **Maciejuka**, Dawida **Filipiuka** i Pawła **Grzegorczyka** i innych.

By lepiej ocenić, jak wielkiem było prześladowanie unitów i ich położenie, postawmy sobie pytanie. Wszak wszyscy unicy od lat 15-tu byli prześladowani, spędzani na miejsce kazi, głodzeni, mrożeni, wskutek tego chorzy, niezdolni do pracy, znęcanie się nad nimi trwało całymi miesiącami. Któż więc w ich ubogich chatynkach gospodarzył, kto opiekował się małymi dziećmi, kto pilnował resztę ich skromnego mienia?, powtarzam skromnego, gdyż wszystko było zrujnowane, zabrane na kontrybucję? Kozacy—żołdacy byli jedynymi panami we wsi.

Nie wolno nam dziś w wolnej Ojczyźnie przechodzić do porządku dziennego nad dziejami Unitów Podlaskich od r. 1867 do 1905. Na własne oczy oglądałem blizny męczenników, znam i widziałem takich, którzy mają powykręcane stawy u nóg i rąk, którzy są kalekami od znęcania się nad nimi.

Każda wieś unicka na Podlasiu, to niezmierzone źródło dla historii.

Różia Barańczuk z Patkowa Ruskiego. Była ona córką Pawła i Marjanny z Gosiewskich, katolików, łać. obrz. Brat jej ożeniony z Teofilą Denisiuk, siostra jej wyszła za Józefa Hawryluka, s. Onufrego w Korczówce. Józef Morwa, jej ojciec chrzestny, zasłużony w sprawie unitów. Kto w latach 1898—1905, jak szeroka okolica nie znał Rózi? Nazywano ją powszechnie „Rózią apostołką”. Była to sławna prowodyrka i krzewicielka oświaty i ducha, terejarstwa i bractw w powiatach konstantynowskim, siedleckim, bialskim i sokołowskim. Całkowicie była oddana sprawie unitów. Ona głównie zajmowała się wyławianiem chorych, dzieci do chrztu i do ślubu, i te albo wozila do kapłanów, albo kapłanów sprowadzała do nich. Wspierali ją moralnie i materialnie: **Dr. Fejt** z żoną Natalją z Dobrzyńskich, p. **Olszewska** z Woźnik, p. **Pieńkowska** i **nieco** ja. Pomagali jej: Józef Chwedoruk, Teklusia Borysiuk. Teresa Olesiuk z Łepok, Józefat Romiuk z Łosic, Łukasz

*) Cfr. Ks. Pruszkowski „Martyrologium“ I, Par. Prochenki.

Kowalczyk z Krześlina i inni. Jako łacinniczka miała łatwy dostęp wszędzie. Była bardzo popularną, bo pracowała bezinteresownie, bo broniła unitów przed żdzierstwami (byli tacy, którzy robili interesy na unitach), bo zobowiązała się ślubem, że za posługi i pośrednictwo nie będzie brać zapłaty, owszem sama była ofiarna. Nie interes, ale jedynie dobro dusz pchało ją do czynów i poświęceń. Oświata, tercjearstwo, kółka różańcowe, różne bractwa, katechizacja dzieci miały w niej zelatorkę i propagatorkę. W największe roztopy, zawieje, nocami odbywała dalekie podróże, by prześladowanym iść z pomocą i radą. Mnie ona kilkakrotnie wywoziła w lasy, do wiosek unickich na „robotę“ : t. j. spowiadać chorych, chrzcić dzieci, dawać śluby, poświęcać krzyże, przyjmować do bractw, katechizować... Setki dzieci chrzcilem jednej nocy, sprowadzonych przez nią z daleka nieraz. Ciekawe i piękne obrazki z tych wybieczek. Różia Barańczuk 24 razy była badana przez strażników, 5 razy była ściągana do Naczelnika w Janowie Podl. na śledztwo. Naczelnik, zdaje się Czauski, rzucał się wprost na nią, znęcał się, wymyślając jej najordynarniej, tupając nogami tak, że drugi naczelnik, chyba Bukrejew czy Kutanin, bronił ją od satrapy. Była też badana parę razy przez prokuratora. Przed naczelnikiem straży podczas badania udawała warjatkę; by zaś jej nie aresztowano i nie więziono, wyrobiła sobie zaświadczenie lekarskie, że jest niespełna rozumu. Dr. Fejt wydał jej takie świadectwo, będąc wtajemniczonym, że taką nie jest i na co jej potrzebne takie świadectwo. Wiedział doskonale, że była sprytną, przebiegłą i mądrą, że nawet moskali zwodziła i zawsze się sprytnie wykręcała z opresji. Naczelnik powiatu uznał ją jako warjatkę chorą. Naczelnik straży nazywał ją „przełożoną unitów i chytrą polką“. Pomimo to często była aresztowaną i przytrzymywaną w więzieniu. Pani Olszewska z Woźnik wstawiała się za nią i uwalniała ją. Przez długi czas, prawie zawsze, była pod ostrym nadzorem policji.

Doktorstwo Fejtowie bardzo dużo dobrego robili unitom przy pomocy Rózi. Dom ich w Patkowie był ostoją dla potajemnych prac, dla posług religijnych. Wójt Kozłowski z Łysowa był jej i unitów prześladowcą.

Szkoda wielka dla historii, zwł. Kościoła w Polsce, że podobne typy, jak Różia, wymierają a z nimi i historia, a tembardziej szkoda typów tych unitów, którzy odczuwali na swej skórze prześladowania !

Dzisiejsze i przyszłe pokolenia nie będą sobie zdawały sprawy z czasów 1867 — 1875 — 1914 r., i jakimi byli ich przodkowie na Podlasiu, jak wielkie oni położyli zasługi dla Ojczyzny i Kościoła, jak oni wysiłkiem, poświęceniem i męczeństwem wywalczyli wolność, jak bronili wiary, polskości i zagona polskiej ziemi przed potężną zachłannością zaborców i wrogów.

Dzisiejsze pokolenia narzekają na Polskę, na Rządy polskie, wymigają się od obowiązków dla utrwalenia wolności i potęgi Ojczyzny, nie doceniają swego wojska, swojej szkoły i swego nawet zagona ojcystego.

Cześć i hołd składam dawnym bohaterom i bojownikom za wolność i wiarę!

Onufry Hawryluk z Korczówki. Urodził się około 1839 r. z Jana i Apolonji we wsi Korczówka. Pola miał 30 morgów i 6 ro dzieci: Andrzeja, Józefa i Jana, oraz Marjanę, Anastazję i Katarzynę. Syn Józef ożeniony z siostrą Rózi Barańczuk. **Onufry, to wybitny unita męczennik**, to patriarcha unitów w szerokiej okolicy. Swoim wpływem i popularnością podtrzymywał unitów na duchu w wytrwałości i gorliwości dla wiary oraz polskości i to w czasach najcięższych przeżyć i prześladowania. W ciężkich terminach wszyscy garnęli się do niego o poradę i pomoc; wszystkich oczy były zwrócone na niego, jak on postąpi w danym wypadku, jak się oprze moskalom. Jego metody były normą dla innych. Moskale za to nienawidzili go i bardziej czuwali nad nim. W Korczówce przez dłuższy czas było ulokowanych 100 kozaków, by mieszkańców zmuszać na prawosławie, by ich męczyć, gnębić i materialnie rujnować. W domu Onufra było stale trzech kozaków i 4 konie. Trzeba było to wszystko wyżywić lepiej, niż własną rodzinę. Mogło nie być mleka, słoniny, chleba dla dzieci, ale musiało to być dla tyranów. Za to, że Onufry sprzeciwiał się wydać organy z kościoła w Próchenkach, bito go okrutnie i ranami okrytego wywieziono do białskiego więzienia **na 7 miesięcy**, w więzieniu karano go i znęcano się... Razem z nim byli zabrani Konstanty Jarczuk, Semen Demianuk, Jan Tomczuk, Michał Hryciuk i inni. Wszystkich za to, że nie chcieli zdjąć organów z chóru i wynieść z kościoła. „Przodkowie nasi te organy ofiarowali do tego kościoła Bogu—mówił Onufry—my nie możemy woli dziadów naruszyć, bo byśmy byli niegodnymi ich dziećmi”.

Wrócił z więzienia wynędzniały. Odtąd stale był śledzony, prześladowany, ciągany do władz i wysiadywał wszystkie areszty

w okolicy. Po roku utrapień **wywieziono go do więzienia w Brześciu**, a z nim Romana Mikiciuka z Olszanki, Filipa Piotruka z Olszanki. W brzeskim więzieniu był 8 miesięcy. Jak w Białej tak i w Brześciu poddawany był nieustannie śledztwu, torturom lub kuszony obietnicami i namowami. Wróciwszy z Brześcia, był stale pod surowym dozorem i nadal prześladowany przez miejscowe strażę, kozaków i naczalstwo. Przeważnie przetrzymywano go w aresztach w **Łosicach i Janowie...**; więcej był w więzieniu, niż w domu. Zabrano mu krowy, trzodę chlewną, zapłacił przeszło 500 rb. kontrybucji, nadto zabierano mu zboże, sprzęty i narzędzia oraz miał na karku trzech kozaków. Pomimo to był niezmordowany i nieustraszony i wszystkie „swobodne chwile” poświęcał dobrej sprawie. Prześladowanie powiększało jego autorytet, gorliwość jego potężniała, na największe kary był gotów. Już był bohaterem na większą miarę. **Idźmy dalej.**

Ponieważ wpływ Hawryluka rósł, moskale postanowili go unieszkodliwić.

Wywieziony został do sławnej cytadeli w Warszawie; umieszczono go w 10-m pawilonie. Z Hawrylukiem wówczas zabrano do cytadeli Stefana Szymonowicza z Krawiec, kolegę i pomocnika w pracy. W cytadeli przeznaczono dla Onufra nie zwykłą-normalną celę, lecz podziemny loch wilgotny, bez okien i żadnego światła: ściany i wilgotna posadzka kamienna tu były obsypane tabaką. Tabaka nadto była umieszczona w kilku naczyniach. Śnać robiono to w tym celu, by Onufry tabakę i jej wydzieliny wchłaniał, by go takie przesycone powietrze gryzło i piekło wewnątrz. Wilgoci, wody i błota w tej ubikacji było dużo. W nocy szczury i inne stworzonka z nim współmieszkały. Ubranie z niego zwleczono, a nakryty był tylko brudnym, cuchnącym kocem-lachmanem. Wydzieliny jego naturalne rzadko uprzątano. Z wilgoci, zgnilizny i wydzielin utworzyło się niesamowite, okropne powietrze. Czystego powietrza z zewnątrz nie wpuszczano. W ziemie lud pokrywał ściany, na dwór nie wypuszczano go wcale. Spać mu w nocy nie dano, bo go wtedy torturowano i badano wciąż o to samo. Do tych tortur używano narzędzi elektrycznych... wykręcano mu kości ze stawów i nawet kości łamano. Stale się trząsł od zimna i strachu, od głodu i męczarni... Czasami napuszczano do jego lochu dużo ciepła. Wtedy znówu mdlał z gorąca i rozsmażonego się powietrza zgniłego. Zamiast okna był mały z głębi otwór w górę, ale przezeń nie widać nie było. Jedzenie jego początkowo składało się

z 3/4 funta chleba czarnego i 3-ch szklauek lichej herbaty na cały dzień. Takie jedzenie mu dawano dotąd, dopóki miano nadzieję obietnicami złamać jego opór. Lecz gdy to się nie udało, dawano mu jeść coraz mniej i nie codzień..., widocznie, by go głodem złamać i zabić. Z głodu i okropnych męczarni opuchł, zczerniał i obrósł w szerść jak zwierze: nie miał wyglądu człowieka. Sam Hurko, generał gub, brał go początkowo na indagację do kancelarii więziennej, namawiając do odstępstwa od wiary kat. i do uległości władzom; perswadował mu, iż gdy przyjmie prawosławie, to zostanie wynagrodzony, obsypany będzie łaskami, bogactwem i otoczony opieką należytą. Podobną metodę stosowali i niżsi oprawcy. Ale gdy Onufry głuchy był na te podchlebstwa, a silnie akcentował swe przekonania i wytrwałość, Hurko i oprawcy szydzili z niego, np. „Tu nie masz nic, a tam w domu krowa ci się ocielila, jest mleko, krewni twoi, nawet twa żona i wsie całe są już prawosławnymi, dobrowolnie przeszli i dobrze im się powodzi, są szczęśliwi i przez moją kancelarię namawiają ciebie, byś porzucił tę swoją głupią wiarę i opór, które ci nic dobrego nie dają, a tylko zło przysparzają. Onufry na te podszepty milczał i przeważnie tylko się żegnał i modlił... co bardziej drażniło tyrana, iż więcej z niego szydził, a swym satrapom polecał surowiej go jeszcze trapić i mordować.

Od czasu przybycia do cytadeli Onufry widział przy sobie „ślicznego, bielutkiego staruszka“, który wchodził do niego cudownie, bo bez otwierania drzwi, w najcięższych terminach i cierpieniach jego. Prawdopodobnie było to chorobliwe złudne przywidzenie, bo napewno nie zmyślał i nie kłamał, gdyż był niezdolny do tego... Staruszek ten przedziwnie słodko uśmiechnięty krzepił siły, podtrzymywał zdrowie, męstwo i wytrwałość Onufra; powtarzał mu też stale: „bądź mężny, cierpliwy, niczego się nie bój, jedz i pij wszystko, choćby truciznę, a nie ci nie zaszkodzi, tylko się przedtem przeżegnaj. Wytrwaj, a wyjdiesz stąd zwycięsko i doczekasz się wolności i swobody“.

Wkońcu, gdy wszelkie próby złamania woli i przekonañ Onufra zawiodły, podobno wydano rozkaz, [by zaprzestano się nim zajmować, nie dawać mu nic do jedzenia i picia. Leżał Onufry nieruchomo jak kłoda, opuchnięty, obrosły, onurzany w błocie. Nie mógł już mówić, prawie zaniewidział na oczy. Pamięć i przytomność go jednak nie opuszczały. W początkach zaniedbania owe-

go dozorca jego celi miłosiernie podrzucał Onufremu kromkę chleba, a z czasem i ten opiekuńczy stróż o nim zapomniiał...

W tym czasie hr. Zamoyski, zdaje się z Jabłonia, bom nie zanotował jego adresu, który znał dobrze Onufra, gdyż ten unitom z jego folwarków ułatwiał spełnienie potrzeb religijnych, na prośby żony Onufra, wystarał się w Petersburgu o najwyższe zezwolenie zabrania Onufra z cytadeli przez jego żonę.

Żona Onufra, a siostra Nastusi, Pawła i Natalki Jaszczuków z Dawidów, pojechała do Warszawy furmanką ze swym ojcem Kazimierzem Jaszczukiem. Zgłosiła się do władz cytadeli z papierami... Odszukano zapomnianego od dłuższego czasu Onufra. Wyniesiono z lochu cytadeli kupę błota, ruszającego się jeszcze. Był to Onufry. Odmyto mu z błota oczy, uszy — całego. Był on w stanie najokropniejszym. Ponieważ jeszcze żył i byłby żywym świadkiem zbrodni dokonanej nad nim (podobno dokument, na mocy którego pozwolono go zabrać, brzmiał: „Zwłoki Onufra Hawryluka wydać żonie“), przeto, by dosłownie dokument ten wykonać, dano mu, a właściwie wlano weń, kubek trucizny, miał to być arszenik. Ponieważ szczęka Onufra była jakby skostniała i dobrowolnie nie mógł otworzyć ust, a może nie słyszał i nie rozumiał rozkazu, rozczepiono mu usta kijem i tak dopiero poczęstowano go tym napojem. Oczywiście w tym celu go napojono, by, nim go wywiozą z cytadeli, skonał i by dosłownie „trupa oddać żonie“, według rozkazu. „Trucizna mi smakowała jak miód“ — mówił Onufry, — a ten „śliczny staruszek“ zachęcił mnie bym wypił, że mi nie zaszkodzi tylko pomoże“. Z cytadeli wyniesiono Onufra jak kłodę nieruchomego.

Żona na widok swego męża - męczennika zemdłała. Onufry nie był podobny do człowieka. Kazimierz Jaszczuk córkę natarł śniegiem i odzyskała przytomność. Ulokowano Onufra na wozie, okryto go kożuchami i poduszkami i tak ta rodzina dzielnych unitów odjechała z Warszawy do Korezówki na Podlasiu. Było to w marcu 1884 r. Mieli surowy nakaz, by się nigdzie w drodze nie zatrzymywali, do nikogo nie wstępowali, by Onufra z wozu nie zdejmowali aż do samego domu. Rozkazu tego ściśle się trzymali. „Staruszek ten“ śliczny, dziwny, niezwykły, wciąż w drodze towarzyszył Onufremu, latając koło jego wozu lub siedząc przy nim. Żona i ojciec staruszka owego nie widzieli, tylko słuchali, jak Onufry rozplamieniony z nim rozmawiał, jak im też Onufry o zjawie tej opowiadał. Opowiadał Onufry, że jednocześnie

towarzyszyły mu w drodze „czarne kruki“, latając nad jego wozem, jakby się chciały dobrać do jego ciała na żer.

Mróz podczas podróży był dość silny, ale i ładna słoneczna pogoda dopisywała. Jechali bez przygód. Dopiero za Mordami w lesie ku Korczówce koło krzyża Onufry kazał się zdjąć z wozu, bo chciał się pomodlić na ziemi w swojej okolicy, by podziękować Panu Bogu za uwolnienie go od męczeństwa z więzienia. Gdy się modlił pod krzyżem, raptem zerwał się silny wicher i rozerwał obok krzyża duże drzewo przy drodze. A przedtem i zaraz potem była dalej piękna pogoda, bez najmniejszego wiatru. Wicher trwał chwilę. A te „czarne kruki“ razem z wichrem odleciały i już więcej się nie ukazały, ale również znikł i ten „dziwny staruszek“ na zawsze. Wicher i rozdarte drzewo widzieli wszyscy. Szczegóły te i następne opowiedział mi sam Onufry i to samo opowiadała mi jego żona i rodzina w detalach. Nie swego tu nie dodałem, owszem niektóre drobniejsze szczegóły opuściłem. Powtarzam, Onufry niezdolny był do zmyślania lub blagi. Był to człowiek prostolinijny, za prawdę oddałby raczej życie. Nadto był on zawsze trzeźwy, przytomny i umiarkowany w mowie, nie tracił nigdy na minie w najcięższych chwilach.

W domu swoim, w otoczeniu rodziny, przeżył spokojnie czas dłuższy. Niezakłócone życie, troskliwa opieka, zdrowe letnie powietrze, zdrowy piaszczysty klimat, wygody domowe wróciły Onufremu siły, wyleczył się, wydobrzał i przyszedł prawie zupełnie do zdrowia — do siebie. Chromał tylko na nogi, wzroku i słuchu już nie odzyskał. Widział jak przez mgłę, sam się orientując, chodził bez pomocy, słyszał b. mało i, przy użyciu mimiki, we wszystkim można się było z nim porozumieć. Z czasem jednak rozpoczęła się nowa serja jego udręczeń i prześladowań. Ciągano go na śledztwa i różne indagacje, pomysły. Sensacja: „umarł i ożył“. Zdawało się moskałem, że Onufra już nie ma, że go unicestwili, zwyciężyli, zgnębili, a on naraż się ukazał na widowni, ale jeszcze z aureolą bohatera, męczennika i niezłomnego wyznawcę wiary katolickiej. Przeto tem zawzięciej zaczęto się nim interesować i nie dano mu spokoju. Prześladowano go na każdym kroku. W końcu na podstawie zeznań żandarmów naczelnik powiatu napisał raport do gubernatora, że Onufry „buntowszczyk, diejatiel, popa znieważył, pobił“, (a on tego popa nawet nie widział), że ludzi buntuje przeciwko władzy i prawosławju, że wpływem swoim organizuje lud do powstania. I gubernator

tor, nie przeprowadziwszy śledztwa, nie zbadawszy donosu, skazał Onufra na wysyłkę **w głąb Rosji, do gub. Mińskiej**. Zjechała do Korczówki żandarmerja, by Onufra zabrać i wywieźć do Mińska. Oczywiście miało się to odbyć na koszt Onufra. Onufry jakoś zdołał uprosić naczalstwo, że skoro taki nakaz władzy, to się poddaje wyrokowi i sam się uda na miejsce wygnania, bez ochrony, gdyż go nie stać na opłatę podróży, na wyżywienie towarzyszących mu żandarmów, a był już zniszczony materialnie do cna. Widocznie ten ostatni powód tak był jasny że podziałal i zgodzono się. Nakazano mu tylko surowo, by się meldował w drodze strażom miejscowym...

Z papierami przeciwko sobie odbył Onufry uciążliwą daleką podróż dobrowolnie i, według nakazu, stawił się u gubernatora w Mińsku Lit. Gubernator uznał wyrok za sprawiedliwy i nakazał Onufremu tu zamieszkać. I musiał początkowo codzień, a z czasem co tydzień meldować się policji. Musiał też utrzymywać się swoim kosztem. Nie dano mu mieszkania i ani grosza. Policmajster miński chciał Onufra oddać na służbę do archireja prawosławnego, sądząc, że Onufry, zmuszony biedą i koniecznością, chętnie się zgodzi na ponętną służbę i na przyjęcie prawosławja, uczęszczanie do cerkwi... Ale Onufry odmówił śmiało kusicielowi, mówiąc, że raczej umrze z głodu i nędzy, a nawet nie chce archireja widzieć i z nim rozmawiać. Policmajster rozgniewał się za tę hardą odpowiedź i wygnał go na bruk miejski i odmówił mu wszelkiej pomocy. Onufry, nie mając gdzie głowy na noc skłonić, nie mając co do ust włożyć, udał się do policji, by mu dano jakie zajęcie i mieszkanie... ale również wygnano go z niczem. Musiał więc o żebraczym chlebie tułać się jakiś czas, głodować i poniewierać. Katolicy w Mińsku zwrócili uwagę na żebraka modlącego się stale w kościele i tułającego się głównie przy kościele kat. Budowała ich jego pobożność i pocziwy wygląd. Niedługo więc trwała jego niedola głodowania i noclegowania pod płotami czy murami.

Mieszczanin miński **Wiśniewski** przyjął Onufra do swego domu, dawał mu jakiś czas pożywienie. **Dr. Kumiecki**, poznawszy kim był Onufry, napisał Onufremu do gubernatora prośbę, dołączając świadectwo o stanie jego zdrowia, by Onufremu pozwolono wyjść poza miasto, bo tego wymaga jego zdrowie i że poza miastem będzie mógł łatwiej się wyżywić. Onufry te pa-

piery sam wręczył gubernatorowi. Gubernator szczęśliwie prośbę uwzględnił.

Onufry, mając dobre rekomendacje od przyjaciół i od d-ra Kumieckiego, udał się do **hr. Czapskiego w majątku Stanków**, pow. Kojdanów, odległego od Mińska o 7 mil. Hr. Czapski Emeryk czy Karol przyjął Onufra na stróża do swego gumna. Do tych majątków należały: Niegorełoje, Wilczyzna. Onufry przebył tu przeszło 2 lata. Był stróżem, ale nominalnie, gdyż faktycznie nie był zdolny do pracy, ale hrabia upozorował, że daje mu pensję za służbę, by go nie upokarzać.

Opowiadał mi lokaj hr. Czapskiego, z którym się spotkałem w Mordach u pp. Przewłockich, o Onufrym, że był nadzwyczaj dobrym, lubianym i szanowanym przez wszystkich, a swoją uczciwością i pobożnością wyróżniał się i budował. Kościół katolicki w Kojdanowie był zamknięty przez moskali, a najbliższy znajdował się w Wiazyniu, odległym o 12 wiorst od Stankowa. Trudny więc był dostęp do kościoła dla biednych. Onufry, schorowany kaleka, co niedziela i co pierwszy piątek miesiąca stale chodził do kościoła w Wiazyniu. Wszyscy podziwiali jego gorliwość. Córka Przewłockich jest żoną Czapskiego. Onufry był na służbie, zdaje się, nie u ojca, lecz u stryja męża Przewłockiej. Czapscy mają obecnie majątki zabrane przez bolszewików i sami są na tułaczce i mieszkają u Przewłockich w Mordach. Hr. Czapski miał dwóch synów: Karola i Emeryka. Ten ostatni był w wojsku w Petersburgu i miał duże stosunki na dworze cara. Hr. Jerzy Czapski, właściciel Przyłuk, też był w Petersburgu ustosunkowany. Ci dwaj Czapscy wyrobili dla Onufra uwolnienie z wygnania. Onufry na wygnaniu, nawet u hr. Czapskich, był pod ścisłym nadzorem policji i musiał się tej meldować.

Tak więc po trzyletniem wygnaniu wrócił do swojej wsi Korczówki. Tu był w dalszym ciągu śledzony przez policję: musiał się co miesiąc meldować naczelnikowi w Janowie, a co dwa tygodnie strażnikowi w Kornicy. Prześladowany był przez gubernatorów Gromekę i Gołowińskiego, a naczelników Klimenkę i innych. Wszędzie jeździł do więzień swoim kosztem, do Warszawy—cytadeli żandarmi wieźli go przez Janów, Białę. Za przejazd do cytadeli ściągnięto od żony Onufra 50 rubli. Był więziony w Siedlcach, Brześciu, Białej, Międzyrzecu i Warszawie, nie licząc aresztów w Łosicach, Moroszkach, Zakanału, Swinarowie i Olśzance.

Tyle szczegółów zapisałem z opowiadania samego Onufra, a potwierdzanych przez innych. Starałem się jaknajdokładniej i najkrytyczniej opowiadanie to ująć. Dalszy ciąg notuję o Onufrym z opowiadania Nastusi, siostry jego żony, od synów jego i sąsiadów.

Onufry na kilkanaście lat przed wojną światową uporeczywie i stale twierdził, że: herezja prawosławna zginie, rozpadnie się, że świat przejdzie wielki kataklizm, że prawosławni i popi z Polski, z Podlasia „uciekać będą aż kudły im na głowach będą się trząść i rozlatywać“, że będzie wielka wojna, że moskale i popi będą wypędzeni od nas, że parafje skasowane przez moskali będą przywrócone katolikom, że parafja katolicka w Próchenkach i inne na Podlasiu będą utworzone, że kościół św. Rocha w Próchenkach na cmentarzu będzie zbudowany... że to wszystko niedługo się stanie... ale że potem będzie źle, bo ludzie, a zwłaszcza młodzież, zaczną się psuć, bo ludzie będą zapominać o walkach ojców za wiarę i wolność i Ojczyznę, że nastanie wielkie zgorszenie i zepsucie obyczajów, a za to spadną na kraj niepowodzenia i kary, że wkońcu wybuchnie nowa wojna „ciężka“, ale i najgorsza... Tak przepowiedział Onufry. Ja to opowiadanie zanotowałem na kilka lat przed wojną. Broń mnie Boże, bym miał coś swego dodać lub zmyślić!

Onufry po powrocie z wygnania żył cicho, spokojnie, b. pobożnie i przykładnie do tolerancji religijnej 1905 r. Spowiadał się często, do kościoła uczęszczał, ludzie go chętnie odwiedzali i jak wyroczni słuchali, słowem i przykładem podtrzymywał ich w wierze i na duchu, ale już ta jego działalność była cicha, domowa. Był niedołączny, prawie kaleka. Po tolerancji coraz bardziej zapadał na siłach i zdrowiu, przebywał głównie w kościołach, a gdy powstała parafja w Próchenkach, a dawna cerkiew unicka, o którą tak walczył i cierpiał, a potem prawosławna, przez działanie wojenne została spalona, to on głównie się przyczynił, bo zachęcał wiernych, do pobudowania nowego kościoła w Próchenkach. I ten nowy kościół nadzwyczaj prędko, bo coś w rok, został zbudowany. Onufry do tego kościoła stale uczęszczał w niedziele i święta i w każdy pierwszy piątek miesiąca. W ostatnich latach, tylko się modlił. Dożył przy swym synie Andrzeju, doglądała go w chorobie córka Marianna, zachorował w grudniu, chorował lekko, dwa razy w ciągu tej choroby był u spowiedzi św., umarł 12 stycznia 1923 r. bardzo świętobliwie. W czasie choroby upominał otaczają-

cych go, by się trzymali mocno św. wiary kat., by uczeiwie żyli, by byli godnymi dziećmi swoich przodków przez wdzięczność Panu Bogu za wolność i zwycięstwo wiary katolickiej.

Syn Onufra, Andrzej mówił mi, że prosił ojca: „Tato, nie opowiadajcie, przynajmniej wszystkim, że będzie wojna, że moskale będą uciekać, że popów wypędzą, że cerkwie będą zamienione na kościoły kat., bo to jest nieprawdopodobne—nawet niemożliwe, bo moskał silny, któż go zwycięży, możecie się takim opowiadaniem tylko narazić moskałom i t. d. — najwyżej możecie to nam dzieciom w domu mówić!...“ A Onufry na to: „Bóg jest mocny i potężny, rzeczy niemożliwe uczyni możliwemi, kara spotka moskali za ich ciemnienie katolików i polaków... owszem będę gadał wszystkim i wszędzie, bo tak będzie napewno i prędko, będę gadał, choćbym miał za to umrzeć, bo musi się wypełnić wola Boża“. Ja byłem wiele razy w Korczówce u Onufra. Onufry bywał często u mnie i to po kilka dni. W r. 1907 był u mnie i u Ks. A. Pleszczyńskiego w Maciejowicach, a Nastusia, siostra jego żony, była u mnie wtedy służącą.

Ks. A. Pleszczyński też opisał życie Onufra, ale co się z tem opisem stało, nie wiem? Ks. Pleszczyński oddał Onufra obserwacji doktorów i pod promienie **Roentgena**. Wynik tych badań i prześwietleń był mniej więcej taki: organizm nadzwyczaj silny, zdrowy i odporny, łatwo się gojący. Kości Onufra powykręcane w stawach, nadwyrężone, a niektóre nawet połamane i popękane. Dlatego był badany za pomocą roentgena, bo niedowierzano Onufremu, gdy opowiadał, że był w cytadeli męczony i „łamany“ za pomocą jakiejś maszyny. Co się stało z tą opinią na piśmie, którą zatrzymał przy sobie Ks. Pleszczyński?

Anastazja Jaszczuk „Nastusia“, ut supra, święta niewiasta, dzielna unitka, miała plecy tak obite przez moskali nabajkami, że skóra na plecach była twarda jak podeszew od bicia, pełno było na niej blizn i szram, od zagojonych ran. Patrząc na jej plecy, można było wyczytać historję jej męczeństwa. Opowiadała mi ona i inni, jak moskale przy gminie w Olszance i przy cerkwi w Próchenkach znęcali się nad unitami i nad nią, że w czasie silnych mrozów i wiatrów mroźnych wyprowadzono ich na łąki, gdzie ich mrozono całymi dniami, a zmrożonych, zgłodniałych i drżących od śniegu napędzano do zgarniania rękoma śniegu z kupy w inną kupę, a potem tak zziębniętych chłostano każdego oddzielnie w obliczu wszystkich nabajkami po 100—400 każdemu, aż do krwi, często

aż do śmierci... i „tak będzie z każdym, jeżeli“... Nastusia od takiego bicia miała plecy całe w ranach.

Onufra i Nastusi mam fotografię. Cześć ich pamięci!

„Wspomnienia“ moje byłyby obszerniejsze, gdybym nie stracił notatek w r. 1914.

W r. 1905 ogłoszony został edykt carski o tolerancji religijnej. Prędko ta tolerancja była ścieśniona i ograniczona. W złagodzonej niepomiernej formie prześladowanie wiary i polskości trwało nadal. Ta wolność mnie dała się mocno odczuć: od donosów popskich do naczałstwa nie miałem spokoju. Za mowy po polsku w czasie pogrzebów, poświęcania pól i na odpustach pod gołym niebem, za rzekomą agitację przeciw **wydzielaniu Chełmszczyzny** z granic Polski, za procesję poza obrębem kościoła, za śpiewy „rewolucyjne“ (Serdeczna Matko), za odbywanie kolędy we wsiach, za dawanie ślubów niepełnoletnim unitom (dzieci unickie od lat 14 do 21, pomimo tolerancji, musiały być prawosławnymi i nie wolno było dać im ślubu katolickiego) — moskale wciąż się mnie czepiali...

Urządzano nawet na mnie napady. Raz w nocy, gdy wracałem przez las ze Stoku Ruskiego, zauważyłem tajemnicze światła wokoło: to się zapalały, to gasły. Wiedziałem co to wszystko oznacza. Szybkim ruchem zrobiłem krąg światłem elektrycznej latarki i wypaliłem z dubeltówki na postrach. Udało mi się. Wyszedłem cało, bo miałem dobre konie, sporo zimnej krwi i trzeźwości umysłu. Innym razem urządzono na mnie zasadzkę, kiedy jechałem nocą z Czepielina do Ogrodnik. I ta również zasadzka moskalom się nie powiodła, gdyż zachowywałem coraz większe środki ostrożności, będąc przestrzegany od przyjaciół. O nieudanych zasadzkach głośno mówiono w okolicy.

Nawiasem wspomnieć mi tu należy, że mieszkanie moje nawiedzał przez 8 miesięcy słynny naówczas herszt bandy, **Piotr Kirilczuk**. Był to młody mężczyzna, mający dwadzieścia parę lat, nadzwyczaj zdolny, silny i sprytny. Znał moją popularność, złożył mi „wizytę“. Moje ciepłe ojcowskie słowa odrodziły w nim człowieka. Zmienił się nie do poznania. Bywał u spowiedzi często, zlikwidował całą szajkę bandytów, zaprzestał pić wódkę i bardzo wydatnie pomagał mi w pracy misyjnej i w organizacji młodzieży. We wsi Wojnowie z młodzieży bardzo swawolnej zrobiłem zelatorów kółek różańcowych i społecznych.

Dopiero nietakt Ks. Ambroziewicza, miejscowego proboszcza, który całkiem niesłusznie nawymyślał Kirilczukowi od bandytów... wykoleił go już na zawsze. Gdyż znów tworzy bandę, urządza napady i... posuwa się aż do masowych mordów. Więziony, kilkakrotnie ratuje się ucieczką, aż wresznie podwija mu się noga bezpowrotnie właśnie w moim mieszkaniu.

Było to we wrześniu 1905 r. około 4-ej po południu. Akurat tego dnia odebrałem 5000 rubli, wygranych na loterii. Zapukał ktoś do drzwi... patrzę, wchodzi, były mój „konwertyta“, Kirilczuk. Na zapytanie moje, czego żąda, prosił mnie, bym mu napisał mój adres, gdyż, stale ścigany, tak żyć nie może i wyjeżdża do Ameryki. Znałem doskonale Kirilczuka i wiedziałem do czego on zmierza. Wiedziałem, że skoro usiądę do biurka, to ten z tyłu zada mi cios sztyletem. Zastanawiałem się więc, co robić. Spoglądam... a Kirilczuk sięga do buta po sztylet. O zgrozo! Najwyższy czas, by się ratować. Błyskawicznie chwyciłem za dubeltówkę, którą miałem pod ręką i wymierzyłem... „Ręce do góry“ — padły z ust moich słowa i bandyta, jak dziecko, ten postrach w okolicy dla ludzi i nawet policji, — stanął w odrętwieniu. W międzyczasie nadeszli strażnicy. Ludzie im donieśli, że bandyta poszedł do wikarego i chyba go zabije... Pod grozą mego cyngla bandyta dał się obezwładnić i zakuć w kajdanki. Dowiedziałem się prędko, że został skazany na śmierć i powieszony w Siedlcach.

Wracam do tematu. W „**Chełmskim Narodn. Listku**“, wydawanym przez popów, pełno było wymyślań niekrytycznych na wiarę kat., na kapłanów i t. d., nie było prawie numeru, w którymby nie opisywano mnie jako fanatyka, „jezuitę“ i buntownika, żem miał wyprawiać wprost potworne rzeczy z prawosławnymi (vide Nr. 23—24 z r. 1908 tego pisma). Za te paszkwile na mnie sam naczelnik powiatu **Juchnowskij** w Janowie Podl. pouczał mnie, jak się mam od popów i ich donosów bronić. Sam mi referował wzory skarg do Sądu na redakcję lub odpowiedzi na donosy do siebie. Najpodlejsze intrygi popów i służalców ich były zemstą za wpływ i działalność moją. Kontrybucji ściągnięto ze mnie administracyjnie parę tysięcy rubli. Ponieważ grywałem w winta z naczelnikiem i z gubernatorem, przeto wysadzenie mnie z parafji było trudne. Popi się wściekali ze złości... Intrygi te jednak zmusiły mnie wkońcu do opuszczenia kochanego Podlasia w r. 1911.

W parę dni po wydaniu ukazu o tolerancji relig., wyprowadzając w Czołomyjach z domu do kościoła zmarłą śp. **Katarzynę Karabin**, unitkę, powiedziałem we wsi mowę pogrzebową po polsku. Było to coś niezwykłego od 30 lat. Pop Kozłowski zaraz napisał donos za to wszystko.

Toczyła się w rosyjskiej „Dumie” — sejmie — ostra dyskusja w sprawie wydzielenia Chełmszczyzny z granic Polski. Ludność Podlasia modliła się, by to się nie stało. **A ja dostałem papier od naczalstwa**, by się wytłomaczyć, dlaczego odprawiałem nabożeństwo o niewydziałanie Chełmszczyzny? Odpisałem w ten sposób: „księża katolicycy odprawiają nabożeństwa ściśle według rytuału, z którego nie wolno im nic zmienić, dodać lub ująć. A na jaką intencję ksiądz się modli, to tylko Bogu wiadomo. Ja, o ile pamiętam, tego dnia odprawiałem nabożeństwo w intencji odwrócenia klęsk od kraju: od głodu, ognia, pomoru i wojny. A jeżeli wydzielenie Chełmszczyzny ma być klęską dla kraju, to oczywiście i w tej intencji. Moskale mi za tę odpowiedź nic złego nie zrobili, tylko podobno mówili: „chyttrze i złośliwie odpowiedział” — „dierzko otwietił”.

We wtorek po Zielonych Świątach 1905 r. urządziłem uroczyste poświęcenie pól we wsiach unickich. Pierwszy raz wtedy w parafii Mordy od 30 lat procesja wyszła poza obręb kościoła. Na tę uroczystość przybyły procesje z okolicznych wiosek i parafii. Wszystkie drogi, przez które przechodziła zbiorowa procesja, były umajone i usłane zielenią. Był to tryumfalny pochód radości i dziękczynienia za wolność religijną. Sztandarów i chorągwi była moc...

Gdy procesja wyłoniła się z za góry i zeszła na pastwisko wsi Czepielina, na którym pasło się bydełko całej ogromnej wsi, w liczbie może parę set, to krowy, ujrzawszy procesję, galopem jakby na komendę, zrobiły krąg, zawróciły ku procesji i stanęły frontem, głowami do ludzi, jakby w ziemię wryte. A lud zaczął wołać z rozrzewnieniem: „Patrzajta, nawet bydlę nasze raduje się z nami!” Niezwykły to był obraz, lecz zupełnie naturalnym odruchem zwierząt, nie oswojonych z procesją, sztandarami i śpiewem. Nic tu nie koloryzuję, tylko podaję rzeczywistość prawdę.

Tegoż dnia, podczas odpoczynku procesji w Czołomyjach, przechodząc obok cerkwi prawosł. z gromadką ludzi i klerykiem L. Kruczkowskim i wskazując na nią, powiedziałem: „mo-

skale prawie nie zmienili wyglądu dawnego kościoła katolickiego, kto wie, czy z tej cerkwi nie będzie jeszcze kościoła“?

Okazało się, że pop Kozłowski mnie obserwował i podsłuchiwał, siedząc ukryty w krzaku bzu. Prędko otrzymałem papier od naczalstwa tej mn. w. treści: „Ksiądz NN. odbył procesję manifestacyjną we wsiach prawosławnych, przy każdym prawie krzyżu wygłaszał płomienne, „buntownicze“ mowy po polsku, śpiewał „rewolucyjne“ pieśni, a nadto przechodząc obok cerkwi i ukazując na nią, powiedział publicznie: „ładny z niej będzie kościół polski“. Musiałem się tłumaczyć.

Podobnych szczegółów mam wielką ilość, ale je pomijam, gdyż nie chcę tworzyć balastu i legend...

Zakończyłem swą pracę na Unji odbyciem **olbrzymiej pielgrzymki do Częstochowy w lipcu 1905 r.** Zebrało się na tę pielgrzymkę około 5000 ludzi przeważnie unitów. Pielgrzymka ta przez całą drogę z Siedlec—Skurzec—Garwolin—Wilgę—Warkę—N. Miasto—Przedborz—Częstochowa była iście tryumfalnym pochodem. Wszystkie okolice, przez które przechodziliśmy, urządzały nam nadzwyczajne owacje i przyjęcia: bramy, mowy, kwiaty, orkiestry, nawet banderje, etc. We wsi kościelnej **Ostrołęka k. Warki** zatrzymaliśmy się na odpoczynek południowy. Ludność wsi była w polu na żniwie, w domach pozostały dzieci, starcy i chorzy. Gdyśmy już po odpoczynku zebrali się do dalszej drogi, nagle zakryła niebo straszna chmura i pioruny jeden za drugim zaczęły walić. Pielgrzymi skupili się w zabudowaniach, rozpoczęliśmy odmawiać Różaniec do M. B. Nagle w dom, w którym ja się znalazłem, uderzył piorun i dom ten i złączone z nim zabudowania stanęły w płomieniach. Tumult nie do opisania.

Ale energicznie i szybko zorganizowałem obronę z pielgrzymów: „mężczyźni na dachy, kobiety do noszenia wody“, i tak waleczyliśmy z rozszalałym żywiołem, iż tylko spaliły się zabudowania pierwsze, a resztę wsi uratowaliśmy, nad którą pędził kierunek wiatru. Poczem — w drogę. Na noc zaszliśmy do Warki u. Pilicą. Wkrótce za nami przyszła duża gromada ludzi z Ostrołęki z podziękowaniem pielgrzymom za uratowanie im wsi i mienia od pożaru.

Uważam za zbędne opisywać to, co się działo na Unji podlaskiej i lubelskiej po ogłoszeniu tolerancji religijnej. Niezmiernie ciekawe to były czasy. Niektóre epizody opisał Ks. J. Pruszkowski w II tomie swego „Martyrologjum“. Zapisy na katolicyzm

unitów odbywały się masowo i procesjonalnie po kilkaset osób jednego dnia w każdej parafii. Praca odbywała się gorączkowo i z wielkim impetem, bośmy niedowierzali moskalom, gdyż oni potrafili wydać jakiś akt i prędko to rozporządzenie ograniczyć lub nawet odwołać. Istotnie z edyktem wolności religijnej w części potem się tak stało...

Ciekawy był bardzo objazd diecezji Lubelsko-Podlaskiej przez Ks. Biskupa Jaczewskiego. Takiej manifestacji religijnej, takiej entuzjastycznej uczuciowości wśród ludu, jaka była wówczas, już przyszłe pokolenia nie ujrzą nigdy. Gdyby dziś sam Papież lub nawet najslawniejszy człowiek świata przyjechał w te strony i gdyby sztucznie chciano wywołać największy entuzjazm, by go uczyć najgodniej, takiego przyjęcia, jakie miał Biskup Jaczewski, napewno nie zdołanoby zorganizować. Odruch ludności naturalny był niezwykły. Banderje konne w każdej parafii na unji składały się z 3 do 5-ciu tysięcy koni. A te płomienne mowy, to pokazywanie Biskupowi ran i blizn prześladowanych, te różne owacje są wprost trudne do opisania!

Dzisiejsze pokolenia powojenne niezdolne są zrozumieć, odczuć i ocenić znaczenia wolności i tych zasług onych męczeńskich pokoleń. Dzisiejsi ludzie nie mogą mieć wyobrażenia, jakie prześladowania, katusze i zmagania przechodzili ich przodkowie dla wykupienia i odzyskanie wolności religijnej, w obronie wiary i Ojczyzny i ducha polskiego.

Dzieje prześladowania unitów i ich bohaterskie czyny przeszły do historii i ludzie, z wyjątkiem historyków, już się temi nie interesują.

Com pamiętał, com miał zanotowane, najskrupulatniej spisałem. Podałem dość chaotycznie li tylko surowy materiał. Na formę i styl nie zwracałem baczniejszej uwagi. Nie traktuję bowiem mego opisu wydarzeń, **jako pracy naukowo-literackiej**. Zasadniczym błędem jest to, że wchodzi tu w grę moja osoba. Gdybym jednak siebie wyeliminował, musiałbym i przekreślić zupełnie cały opis.

Zresztą „Wspomnienia Moje” przeznaczam do akt osobistych, jako prywatne zapiski, a nie do publikacji i do rozpowszechniania.

CZĘŚĆ DRUGA.

W ŚRÓD MARJAWITÓW.

Moskale po stłumieniu powstań zabrali się do prześladowania kultury polskiej i wiary katolickiej, do zmuszania unitów na prawosławie i rusyfikacji okolic unickich. W tej niecznej robocie sprzęgły się administracja, kozactwo, popi i nauczyciele carscy. Na Podlasiu jednak wysiłek rządu i synodu schyzmatycznego rozbijał się o tężyznę ducha unitów. Unici bohaterstwem, krwią i śmiercią zadokumentowali swą wiarę katolicką i polskość ducha.

W r. 1905 po edykcje wolności religijnej cała robota rusyfikatorska prysła, unici w liczbie paru set tysięcy zapisali się jako katolicy polacy.

W r. 1906 powstała herezja marjawicka—mankietnicka. Wielu katolików przyłączyło się do marjawitów. Z b. unitów nikt wiary katolickiej, drogo okupionej, się nie wyrzekł. Żadne nowinki unitów nie interesowały.

Moskale, mszcząc się za odpadłych od prawosławia unitów, bardzo wydatnie protekcyjnie i materialnie nawet, popierali ruch antykatolicki.

Marjawici na Podlasiu zagnieździli się w Żeliszewie i Grębkowie obok Cegłowa. **Kraźyli oni i około Krześlina**, chcąc tę placówkę ważną zająć. W Krześlinie był b. ładny i ogromnie popularny kościół poklasztorny. Rektorem tej świątyni był ks. Dionizy Korzeniowski, zacny, ale 83-letni, niedołężny i niezaradny starzec, który nie mógł już skutecznie reagować na zakusy herezyków. Sprawa tak stała, że marjawici rychło i niewątpliwie zajęliby ten kościół, czekali tylko na odpowiedni moment.

Biskup Jaczewski depeszą, z dn. 24 II, 1906: „jedź księżę i ratuj Krześlin“, posłał mnie na zastępstwo ks. Korzeniowskiego.

Ja w tych okolicach miałem sławę „trybuna ludowego“, znany byłem tu z pracy w Mordach. Powszechnie lubiany, mogłem śmiało konkurować z marjawitami, mogłem paraliżować ich robotę.

Niełatwą miałem jednak pracę, gdyż lud był dziwnie sfanatyzowany, a marjawiccy księża znani też byli jako gorliwi, bezinteresowni i czynni. Gorliwością i uroczystymi nabożeństwami pociągali masowo lud do siebie.

Pojechałem do Krześlina. Wielką pomoc dla mnie i wtedy okazał Łukasz Kowalczyk, działacz wśród unitów (vide „wśród unitów“). Do Krześlina marjawitów nie dopuściłem i udaremniłem im zupełnie propagandę, iż zaniechali ze mną konkurencji. W Krześlinie z polecenia Władzy Duch. zorganizowałem samodzielną parafję. Odnowiłem dom ks. rektora, odrestaurowałem kilka pokoi w gmachu poklasztornym dla siebie, na kancelarię i salę parafjalną.

Jednocześnie polecono mi obsługiwać parafję Żeliszew, zajętą już całkowicie przez marjawitów. Wiernych Kościołowi kat. pozostało w całej parafji zaledwie kilkanaście rodzin z pośród inteligencji, kolejarzy, z folwarków i st. kol. Broszków. A reszta to sfanatyzowany tłum, oddany całkowicie marjawickim przywódcom. Poprzednio proboszczem par. Żeliszew był ks. Adam Dubiszewski MST. Był on jednocześnie katechetą w gimnazjach siedleckich, wskutek czego mało przebywał w parafji. Był przytem wielkim nerwowcem, nieprzystępnym i niepopularnym. Zraził przez to do siebie ludzi, łatwo tedy się go pozbyli, przyjmując skwapliwie gorliwych marjawickich kapłanów: Nowakowskiego Jana i Suchońskiego. Ci bardo żarliwie i uroczyście pracowali nad tymi obałamucenymi; stale dzień i noc przebywali w kościele z ludem. Lud ich wynosił ponad wszystkich kapłanów, jako najlepszych i najpobożniejszych.

By nie dopuścić księży marjawickich do tej parafji, Biskup wysyłał tu z misją wybitnych kapłanów: Adolfa Pleszczyńskiego, b. proboszcza par. Żeliszew, ks. Karola Dębińskiego, Józefa Scipio del Campo i innych. Ale misja ich się nie udała, gdyż marjawici ich tylko wyszydźili, zwymyślali i nie dopuścili do żadnych czynności... i parafję zajęli i kościołem itd. zawładnęli. Wspomniani księża zdali sprawozdanie Biskupowi o stanie rzeczy w tej parafji i wtedy mnie wyznaczono na stałe do pracy na tym odcinku.

Pomnę, gdy ks. Wł. Kogłarski, alter wówczas Biskup, dając mi nominację na proboszcza w Żeliszewie, powiedział: „księża Ple-

szczyński, Dębiński i Scipio złożyli nam raport o strasznym fanatyzmie ludu w Żeliszewie, o niezwykle trudnej roli tam kapłana katolickiego, który się poświęci pracować... jeżeli tedy ksiądz potrafiś co tam zrobić, duszpasterzować, nawracać, to ja pierwszy głowę przed panem schylę". A było dumny dygnitarz.

Istotnie trudna to była misja i konkurencja z księżmi marjawickimi. Byli to ludzie faktycznie początkowo ideowi, z zapałem, z żarliwością, bezinteresowni i pobożni... Dzisiejsi hodury, to nie dawni marjawici. Hodury to aferzyści, wykolejeńcy, zepsuci moralnie, żerujący w mętnej wodzie. Hodury, to dzisiejsi marjawici— „mandoliniści" bez czci, honoru i wiary. Hodury w r. 1906 nie miałoby żadnego powodzenia u ludu, zwł. na Podlasiu, gdyż niczemby nie imponowali ludowi, łatwoby się poznano na ich wicherzycielskiej robocie. Marjawici początkujący, to apostołowie prawdziwi nowej idei. Oczywiście tak ich oceniam optycznie, życiowo, a nie zasadniczo i krytycznie. W oczach ludu stali oni wysoko ponad innymi.

Gdym przybył koleją na stację **Broszków**, jadąc do Żeliszewa, zastałem tu zgromadzony kilkutysięczny tłum marjawitów z całych okolic. Marjawici wiedzieli, że tego dnia przyjadę. Gdym się ukazał oczom ich, wszczął się nieopisany tumult i krzyki: „nie chcemy cię, wracaj z powrotem, precz z nim" i t. d., a wszystkich ręce były podniesione i grożono mi najpotworniej... Nie straciłem jednak na minie, nie zbito mnie z tropu, uśmiechałem się życzliwie i dziarsko. Wysiadłem z wagonu i śmiało podążyłem do wskazanej mi bryczki p. inż. Dzierżęckiego Jana w otoczeniu kolejarzy i inteligencji. Podjechałem do wsi Kotunia, obok stacji. Liczny ten tłum nie opuszczał mnie, owszem nadal niemilknącym krzykiem nienawiści honorował. Zachęcające, prawda przyjęcie?

W Kotuniu, nie schodząc z bryczki, donośnym głosem przemówiłem do zgromadzonych, pomimo ich protestu: „nie krzyczcie, nie zlekne się, nie wiecie przecież kto jestem, może jestem marjawitą, jak wam, tak i mnie wolno głos zabrać, pojedźcie do Mórd i tamtych okolic, a dowiecie się, jakim jestem, znam dobrze waszego „ojczulka" — Ks. Nowakowskiego, to mój kolega i przyjaciel, razem żeśmy się uczyli, na jednym wózku żeśmy do szkół jeździli, jedna myśl, jeden zapal nas ogarniał, jednym kawałkiem chleba żeśmy się dzielili, może ja będę jego wikariuszem u was"; „ty mi wymyślasz, a com ci winien? dopóki mnie nie poznasz, nie masz

prawa wydziwiać; nie krzykiem ale rozsądkiem się kierujcie". Te i p. wykrzykniki moje uspokoiły nieco tłumy, owszem wielu z nich zaczęło mówić: „dobrze mówi, zobaczmy". Najbardziej zajadliwa była młodzież i kobiety, które nie przebierały w słowach i przewiskach na mnie.

Po paru godzinach tłum się rozszedł, a pozostało tylko wielu ciekawych, by mnie lepiej zilustrować. Mogłem się więc z nimi już jako tako porozumieć. Powiedziałem otwarcie, że jestem kapłanem katolickim, że przybyłem, by katolikom pasterzować, boć nie wszyscy zostali marjawitami, że się osobiście z ich pastierzem porozumiemy i będziemy każdy dla swoich pracowali.

Gdy wreszcie marjawici odeszli, pp. Izdebscy zaprosili mnie na posiłek. W otoczeniu katolików omówiliśmy plan mego pobytu i pracy. Ponieważ największe było skupienie katolików w Broszkowie-Kotuniu, postanowiłem tu zamieszkać i urządzić kaplicę i nabożeństwa. Do Żeliszewa lub innej wioski w parafji nie sposób było jechać, gdyż nie było do kogo, wszyscy zostali marjawitami. Tam więc postanowiłem robić tylko wycieczki i w poszczególnych wypadkach dojeżdżać.

Jakkolwiek gorąco mi odradzano ze względu na moje zmęczenie, emocję i rozdrażnienie marjawitów, postanowiłem jeszcze owego dnia dotrzeć **do Żeliszewa**, by wejść do kościoła, by się rozmówić z Nowakowskim. W Broszkowie była wówczas socjalistyczna organizacja „bojowców" na czele z p. Greckim, zawiad. stacji. Bojowcy od samego początku gorliwie trzymali moją stronę i pomagali mi czynnie w pracy misyjnej i byli moimi obrońcami przed pałkarzami marjawickimi.

Taktem i przykładem można każdego zjednać, naprawić i pożytecznym uczynić. Postanowienie moje jazdy do Żeliszewa zrobiło dodatnie wrażenie na katolików. Zawieźć mnie do Żeliszewa podjął się bojowiec (Wosiak?).

W Żeliszewie wszedłem odważnie do świątyni, zapchanej wprost marjawitami. Odbywała się „adoracja", kościół był rzuśście oświetlony, wystawiona była monstracja, wszyscy byli skupieni w modlitwie, a księża Nowakowski i Suchoński siedzieli w konfesjonalach. Naprawdę budować się było można, gdyby to wszystko nie było zarażone herezją i nienawiścią do katolików. Siedząc w ławeczce pod chórem, modliłem się i rozważałem to smutne rozdwojenie w narodzie, obserwowałem również tych, którzy zwrócili na mnie uwagę i złowrogo mnie śledzili. Bliżej zakrystji

i konfesjonałów zrobiło się pewne zamieszanie. Jak tylko wyszedłem z kościoła, otoczono mnie wokoło i poczęto szydzić ze mnie, lżyć mnie i kazano mi czemp prędzej pókim cały, wynosić się z przed świątyni... „My już teraz takich nie potrzebujemy, mamy swoich, lepszych...” Nie tracąc na minie, powiedziałem, że chcę tylko zobaczyć się z ks. Nowakowskim, a potem wyjadę. Lecz marjawieci odrzekli, że ich księża są zajęci i będą w kościele do północy, zresztą wiedzą, iż ja tu przyjechałem, ale nie mają nic do pomówienia ze mną i radzą mi, bym stąd wyjechał i ludu nie drażnił, nie prowokował. Dalej nawymyślano mi co niemiara w najohydniejszy sposób i poczęstowano szturchańcami. Zmaltretowany wydostałem się szczęśliwie, bo na cało, od tej zgrai, wsiałem na wózek i wróciłem do Kotunia. Tak się skończył dzień pierwszy i pierwsza moja misja.

Nazajutrz w domu **p. Krasnodębskiego** urządziliśmy kaplicę, ołtarz, konfesjonał... Dom duży, doskonale się nadał na ten cel. Ambonę urządziłem na dworze obok kaplicy, na sośnie. Wszystkie te urządzenia wykonywał p. Pertkiewicz pm. zawiad. stacji, wspólnie z p. Dzierżęckim. Od tego dnia rozpocząłem odprawiać codziennie Msze św., a w niedziele i święta uroczyste nabożeństwa. Był wtedy W.post. Wieczorem odprawiałem „Stacje Męki Pańskiej“, lub „Gorzkie Żale“ i mówiłem nauki pasyjne. Wskutek okoliczności taki panował rzewny nastrój podczas tych nabożeństw, że nauki moje i pobożne śpiewy były zmieszane ze szlochaniem... Nie wiem, kiedy sam tak się modliłem szczerze i rzewnie, jak wówczas.

Ta skromna stacja misyjna dość prędko stała się głośną: z dalszych nawet okolic ludność się gromadziła na nabożeństwa i nauki katechetyczne. Z Warszawy i Siedlec w każdy dzień świąteczny przyjeżdżało sporo ludzi do kaplicy może z ciekawości, ale wielu i z nabożeństwa i solidarności, by mnie i tę placówkę podtrzymać i nabożeństwa uświetnić. Reklamę do tego robili kolejarze i inteligencja, oraz organizacje polityczne. Rozgłos, reklama i niezwykle nabożeństwa ściągały tłumy i ułatwiały ogromnie pracę.

Broszków-Kotuń nadawał się na letnisko. Latem więc ściągały rzesze letników z Warszawy, Siedlec, Nowo-Mińska. Kaplica tonęła w zieleni wieńców, kwiatów i sztandarów. Zdaleka widna była moja placówka. W letnie miesiące nabożeństwa były istną nieustanną manifestacją.

Oprócz bractw religijnych utworzyliśmy **towarzystwo miłosierdzia chrześcijańskiego**. Członkowie towarzystwa zbierali ofiary w gotówce i naturze, które były rozdzielane biednym. Towarzystwo to dawało dobry nastrój i wiele łez otarło. Prenumerowaliśmy też sporo pism ludowych, kupowaliśmy książki i te dawaliśmy ludowi. Ludzie dobrej woli wspólnie ze swym pastorem mogą wiele dobrego zdziałać. Opinia nawet wśród marjawitów na naszą korzyść coraz więcej się przychyliła. Z czasem i marjawici zaczęli się do naszej kaplicy garnąć. Może wielu z nich przychodziło na przesłpiegi, lecz także wielu pociągała nowość, gromada, uroczyste nabożeństwa i przemiła atmosfera, jaka panowała.

Mieszkałem w tym samym domu, w którym była kaplica. Stolewałem się, jak ptak, u kolejarzy zacnych, codziennie gdzieindziej, miałem na kolejkę garnuszek. Smaczny i pełny był ten garnuszek. Z wielką wdzięcznością wspominam i swą podziękę wyrażam p.p. Szawłowskiemu, (naczelnik stacji) Pertkiewiczowi, Dzierżęckim (tu najczęściej). Ubóstwo i bezinteresowność ogromnie ludzi pociąga...

Przywódcy marjawitów usposabiali swoich do mnie najgorzej, przezywano mnie: „**czarnym djabłem, zarazicielem, judaszem, zdrajcą**“. Mam list, jaki do mnie napisał marjawita Nowakowski zaraz na drugi dzień po przyjeździe do Żeliszewa, a ten list ogłoszono w gazetach, w którym wyzywał mnie od „zbójów i bandytów“. Gdzieś się tylko pokazał poza Kotuniem w innej wiosce, to mnie marjawici prześladowali, wymyślali, znieważali... Gdym jechał do chorego lub z inną posługą do zaplątanego wśród marjawitów katolika, to mnie znieważano... Raz w Trzemeszce, drugi raz w Niechnabrzu, gdym wracał od chorego, to rzucono na mnie błotem i kamieniami; w Niechnabrzu tak gęsto obsypano mnie kamieniami, jakby wprost chciano mnie ukamienować, a szkoda, bo byłbym męczennikiem! Dzięki tylko temu, że się położyłem na wozie i głowę schowałem, uniknąłem kalectwa.

Przepięknienie i nader uroczyście odbyły się nabożeństwa **Wielkotygodniowe i rezurekcja**. Grób urządził p. **Pertkiewicz** artystycznie. Grota była zbudowana z glazow, wylepiona gliną, przybrana zielenią i mechem leśnym, wyglądała istotnie na naturalną skałę. Nie wiem, czy ładniej miały przybrane groby W. Tygodniowe miasta i czy tak nastrojowo odbyły się te nabożeństwa jak tu, w tej ubożuchnej kapliczce misyjnej.

I pierwszą Komunię św. dla dzieci również bardzo ładnie i uroczyście urządziliśmy. Zaeni kolejarze dla dzieciaków przygo-

towali śniadanie i upominki. Były przytem deklamacje, śpiewy i popisy dzieci.

Uświetnienie uroczystości i te różne atrakcje, ludziom nieznanym, zjednywały mi coraz więcej lud i czyniły reklamę. Marjawici zaczęli się zaciekawiać i przybywać na nabożeństwa i dość tłumnie nawracać. Ale zato w centrum ich gniazda — w Żeliszewie — rosła ku mnie większa nienawiść i zjadłość.

W Wielką sobotę odważyłem się objechać wszystkie wioski w parafji, by poświęcić katolikom paschę. Zapowiedziałem z ambony ten objazd, wyznaczyłem godziny i objaśniłem że tylko będę wstępował do tych domów, do których będę poproszony przez czekających na mnie u bramy swego zabudowania. Marjawita Nowakowski ogłosił i nakazał, by mnie „czarnego diabła i zaraziciela“ nie wpuszczano i domy przedemną zamykano. Nienawiść jego rosła do mnie, gdyż marjawici opuszczali szeregi, a przyjaźniej ku mnie się zwracali. Dwuch moich parafjan ofiarowało się obwieść mnie po całej parafji, jeden z nich bojowiec. Do wsi Niechnabrza nie dopuszczono mnie. Była to wieś najzjadlej do mnie uprzedzona. W pozostałych wsiach i folwarkach zatrzymywałem się, wstępowałem do domów, poświęcałem paschę i budynki gospodarcze. Prawie w każdej wsi nie obeszło się bez gwizdów i krzyków ze strony marjawitów. Nim ja przybyłem do wioski, to już w niej byli Nowakowski i Suchoński i nastrajali przeciwko mnie mieszkańców. Było jednak już wielu marjawitów, którzy, gdy inni na mnie wykrzykiwali, to oni tych mitygowali, mówiąc: „wolno tym przyjeżdżać do nas, to wolno i jemu (niby mnie), nie pogryzie nas, a poznamy go jakim on jest“. Gdym, kiedykolwiek przejeżdżał przez Żeliszew, to dzwoniono na alarm — i ludność marjawicka zewsząd zlatywała się pod kościół z kijami, widłami i groźnie pilnowała kościoła, bym im go nie zabrał, bym nie wszedł do niego. Taki podobno mieli nakaz od swych „ojczulków“.

W czerwcu Biskup Jaczewski wizytował moją parafję w ubogiej kaplicy w Kotuniu. Nadzwyczaj uroczyście i podniecająco odbyła się ta uroczystość. Sporo było wiernych i kapłanów. Dużo ludzi przystąpiło do Sakr. Bierzmowania. Nic nie zamąciło spokoju i uroczystości. Przyjazd Arcypasterza wydał duże i dodatnie skutki. Marjawici celowo ośmieszali moją kaplicę w zwyczajnym domu. „To nie kościół, a buda“ — mówili, a teraz tę budę Biskup odwiedził, a ich świątyni nie.

W sierpniu, w drodze prawnej wystarałem się o oddanie mi akt i metryk parafjalnych i całego archiwum. Marjawitom odtąd prowadziła metryki gmina, jak żydom. Fakty te ogromnie podęwały autorytet marjawickich przywódców.

W tym czasie odbyło się odebranie kościoła w Grębkowie przez katolików w drodze prawnej. Odbyło się to jednak w strasznych okolicznościach. Były formalne boje między marjawitami i katolikami, było wielu nawet zabitych i b. w. rannych. Wypadki owe wywołały popłoch i przygnębienie wśród marjawitów, tembardziej, że ich ojczulkowie — uwodziciele zapowiedzieli, że już zawładniętych kościołów nikt im nie odbierze, a marjawita Suchoński w Żeliszewie tak się zagalopował, iż z ambony powiedział: „nikt wam kościoła nie odbierze, powiesicie mnie na ołtarzu, jeżeli te słowa moje się nie sprawdzą”. A tu zaczęto ich jako nieprawnych intruzów wypędzać, a zagarnięte świątynie oddawać prawowitym właścicielom. Tracili zaufanie, posłuch i grunt w swej działalności i rozpędzie.

Na porządku dziennym były wielkie nieporozumienia między marjawitami i katolikami i to nieraz w jednej rodzinie i chacie. Ludzie starsi i inteligentniejsi byli katolikami lub chwilowo zbałmuceni, prędko się nawracali. Często ojciec katolik, a matka marjawitka, rodzice katolicy, a dzieci marjawici; tak więc w rodzinach były tarcia, a w większych gromadach tarcia zamieniały się w bójki.

Ponieważ w par. Żeliszew większość przeważającą tworzyli marjawici, więc oni śmieiej postępowali, byli agresywni i atakującymi katolików. Katolicy doznawali nieustannie od nich wiele krzywd i napadów... Smutne były stosunki w tych wsiach. Często były wypadki, że marjawici podpalali budynki pojedynczym katolikom, jak to miało miejsce w Niechnabrzu, a nadto podpaleni katolicy zostali jeszcze pobici przez marjawitów, zdaje mi się, było nawet paru katolików zabitych. Zjechała moskiewska policja na śledztwo, spisała protokół i wykonała sprawiedliwość odrazu, bo zaareztowała wszystkich pobitych katolików i dla bezpieczeństwa umieściła ich w więzieniu siedleckim, gdyż katolicy mieli sprovokować marjawitów i wywołać awantury, a że byli w znikomej mniejszości, to zostali pobici. Sprawiedliwość moskiewska! Pojedyncza rodzina napadała na całą wieś? **Moskale otaczali marjawitów specjalną opieką...**

Oczywiście zbadawszy wprzód prawdę szczegółowo, rozsierzony bardzo tą niesprawiedliwością, napisałem obszerny memoriał,

wręczyłem osobiście gubernatorowi w Siedleach. Nim byłem przez gubernatora przyjęty, wyraziłem się w kancelarii do urzędników: „nic dziwnego, że was bomby rozrywają za takie porządki i taką sprawiedliwość“! A wszyscy byliśmy pod wrażeniem rzuconej bomby w przeddzień na policmajstra i tragicznej jego śmierci. Prawdopodobnie wrażenie to sprawiło, że urzędnicy nie zareagowali na moje śmiałe powiedzenie. Na moją energiczną interwencję parafjan zwolniono z więzienia. Ale i marjawitów nie ukarano, choć przedstawiłem ich winę. Wszelkie bezprawia uchodziły marjawitom bezkarnie.

Żałuję, że, opisując te fakty, nie podaję nazwisk, gdyż nie robiłem z tego notatek, a pamięć zawodzi. Wiem, że nazwisko Niedziałka tu figurowało.

Do sekty marjawitów nie należeli inteligenci, robociarze i ludzie obcy w świecie. Ciemne tłumy, głupie dewotki u nich rej wodziły. Najbardziej fanatyczni i zajadli byli ci, którzy przystępowali do komunji marjawickiej.

Nie chciałem pisać o rzeczach niekrytycznych, ale wówczas powszechnie twierdzono i pisano, że komunja marjawicka posiadała przymieszkę jakiegoś narkotyku. Istotnie komunikujący chodzili jakoby błędni, odurzeni, wygląd ich był nienaturalny, oczy jakby opuchnięte i wyłazące z orbity.

Moi parafjanie przyłapali w drodze z Cegłowa do Żeliszewa kościelnego marjawickiego, niosącego sporą paczkę komunikantów niekonsekwentnych. Komunikanty te mu zabrali i oddali, zdaje się p. Wyszatycki, do analizy w Warszawie. Analiza wykazała, że w komunikantach znajduje się jakaś substancja, nie mająca nic wspólnego z materiałem na komunikanty. Lecz owa analiza nie wykazała, jaka to mianowicie była ta substancja. By to zbadać, należało oddać gdzieś indziej specjalnej analizie i w specjalnym aparacie, którego Warszawa nie miała. W dodatku specjalna analiza byłaby bardzo kosztowna i trudna do zrealizowania. Przeto zaniechano jej.

We wrześniu byłem w urzędzie gminy Żeliszew u pp. Niemyskich, dobrych katolików, którzy z Żeliszewa do Kotunia stale przyjeżdżali na nabożeństwa. Gmina stała obok kościoła, zajętego przez marjawitów. Wyszedłem z gminy, by się przejść koło kościoła i ogrodu plebańskiego. Niespostrzeżenie otoczyło mnie kilka marjawitek, które zaczęły się drzeć i wołać o pomoc... przyleciało zaraz kilku mężczyzn z obrębu cementarza kościelnego,...

do których jedna z marjawitek wołała: „oto ten czarny djabeł złapał mnie za piersi, rozerwał mi stanik i chciał mnie dusić“. Zadzwoniono na alarm, zbiegła się chmara marjawitów i zaczęto się mną bawić tak, że podarto na mnie ubranie, oszołomiono mnie, iż zemdlałem. Gdybym był słabszym niechybnie wytarמושonoby ze mnie ducha. Nad zemdlałym już się nie znęcano, bojąc się, bym nie umarł... Znalazłem się znów w domu pp. Niemyskich. Przyszedłszy do siebie, umyłem się, bo byłem onurzany w ziemi. Śmieliśmy się z pp. Niemyskim z tej głupiej przygody, chyba nie mniejszej od tej, jaka spotkała Zagłobę od małp, tylko, że tu nie były małpy, lecz ludzie. Wróciwszy do Kotunia, przeleżałem pare dni w łóżku, a zacne panie Szawłowska i Pertkiewiczowa dawały mi jakieś ziółka na uspokojenie nerwów.

Ile razy wyjeżdżałem do wiosek marjawickich z jaką potrzebą do katolików, prawie ani razu nie obyło się bez przygód i niespodzianek ze strony marjawitów. Rzucanie kamieniami, piaskiem, wymyślanie, przekleństwa i t. d. były na porządku dziennym, np. w Rossoszy.

Wreszcie prawo przyznało oddanie katolikom kościoła, domu, zabudowań, ogrodu i cmentarza, zabranych nieprawnie przez marjawitów w Żeliszewie. **Eksmisja** marjawitów z posesji kościelnej wyznaczoną została na **dz. 29.IX 1906 r.** Władze rządowe, bojąc się wypadków zaszłych w Grębkowie, Strykowie i in., stawily się w komplecie: naczelnik powiatu, naczelnik żandarmerji, prokurator, władze gminne i dozór kościelny. Władzom towarzyszyły trzy szwadrony dragonów ze swymi oficerami. **Wezwano i mnie**, bym własność kościoła objął w posiadanie. Egzekucja rozpoczęła się o godzinie 9-ej rano. Przywódcy duchowni marjawitów na ten czas wyjechali z parafji. Wyjeżdżając, nakazali swoim, by za wszelką cenę nie dali się wyrzucić z kościoła i t. d.

O eksmisji było wiadomo na kilka tygodni naprzód. Marjawitów z całych okolic zgromadziło się ładnych pare tysięcy. Ja katolikom, prócz dozoru, zabroniłem się gromadzić, by swą obecnością nie prowokowali zła. Katolicy tylko zdala obserwowali zjawisko i słyszeli straszny krzyk tłumów marjawickich, jakby w czasie pożaru, lub trzęsienia ziemi. Marjawici zapełnili kościół, plebanję i zabudowania, i tu się pozamykali silnie. Na żądanie naczalstwa marjawici nie chcieli oddać własności kościoła, ani kluczów do tego. Żadne nakazy i porozumienia nie odnosiły skutku. Nakazano więc wyłamać zamki, drzwi i tak wejść do środka. Całą

tę operację zrobili żołnierze. W ten sposób weszliśmy do kościoła, plebanji i zabudowań. Mnie ból rozsadzał serce na widok profanacji... usiadłem pod chórem w tej samej ławce, w której dnia pierwszego mego tu pobytu siedziałem. Ponieważ marjawici nie chcieli dobrowolnie kościoła opuścić, każdego z nich żołnierze wyносили... i tak dopiero kościół został opróżniony. Przykry był widok!...

W konfesjonalach, w ławkach i po kątach w kościele znaleziono setki drągów żelaznych, kołków z ostrem okuciem na końcu, lub wielką liczbę nahajek drucianych. W komórkach pod chórem znaleziono dwa duże worki piasku, zmieszanego z solą i tabaką. Pod dzwonnica w ziemi zakopane były chorągwie—sztandary katolickie, oraz znaleziono kilkanaście butelek z kwasem siarczanym. W zakrystji, zw. babińcem, był urządzony klozet bardzo zanieczyszczony... Mówiono, że ten arsenał broni przygotowany był w celu obrony przed katolikami, gdyby usiłowali odbierać kościół.

W ten sam sposób opróżnione zostały plebanja i zabudowania gospodarcze. Cała nienawiść, żal i złość marjawitów były skierowana na moją marną osobę. Gdy tylko żołnierze, wyłamawszy drzwi, dostali się do kościoła, wielka fala rozszalałych marjawitów rzuciła się na mnie wściekle, gdyż ktoś puścił pogłoskę, iż ja kazałem wyłamać drzwi kościelne, i że ja, wszedłszy do kościoła, kopnąłem nogą lampkę wieczną świecącą przed W. ołtarzem. Czego oczywiście nie było... ja byłem złamany, prawie nieprzytomny, a złość na mnie się zwała. Dopiero oficerowie otoczyli mnie i zakomenderowali salwę w górę i powstrzymali atak na mnie. Ale od tej chwili wszczął się niesamowity krzyk, wycie, obelgi parutysięcznego tłumu. Jakie tylko można wymyśleć przezwiska, przekleństwa, epitety, zarzuty, to takie padały na moją osobę. I ten tumult i gwałt i chóralny okrzyk już nie ustał do mego wieczorem wyjazdu. Każdy mój bezwolny ruch, każda moja mina podniecały wściekłość i hałas. Gdym stał lub przechodził obok marjawitów, to pluli na mnie i to tak obficie, że wyglądałem jakbym był śniegiem oprószony, prawie biały, wyciągano ręce i tak podarto mi ubranie, wszystkie pięście były podniesione, tak mi grożono. Gdybym nie był stale w otoczeniu naczalstwa i oficerów, chybaby wydarto mi duszę z oplutego i sponiewieranego ciała.

Na plebanji niespostrzeżenie znalazłem się sam, bez komisji, (bo komisja przeszła do innego pokoju) w otoczeniu na szczęście marjawitek, które zrobiły sobie ze mnie zabawkę w odbijanego, jak w piłkę. jedna fala pchnięciem odsyłała mnie drugiej. Ile dostałem

wtedy kufaków, policzków, ile razy leżałem na ziemi i byłem skopany?! Na szczęście dwaj oficerowie wyratowali mnie z opresji, spostrzegłszy się, że mnie nie ma między nimi.

Okolo godziny 5-tej po południu komisja oddała mi własność kościoła i sam kościół. Ale czyż mogłem w tych warunkach i przy takim nastroju objąć to w posiadanie faktyczne? Czyż mogłem tu zamieszkać?... To też jednocześnie z wojskiem i komisją rządową wyjechałem z Żeliszewa, oddawszy dozórowi kościelnemu klucze—i kościół w opiekę. Marjawici natychmiast po naszym wyjeździe zagarnęli napowrót wszystko.

Z Żeliszewa udałem się zaraz do Siedlec, by zdać sprawozdanie Ks. Dziekanowi z tego dnia, jak wykonano wyrok eksmisji. U dziekana zastałem gości przy „zielonym stoliku“. Gdy mnie ujrzano w mizernym stanie, gdym w paru słowach opowiedział historję dnia, to mi zamiast uspokojenia, powiedziano: „niepotrzebnie tam lałeś, narażałeś się, nie-taktowny byłeś“. Nie mając co tu robić, nie chcąc przeszkadzać, niechcąc się narażać na przycinki i kpinki, rozgoryczony zaraz wyjechałem do obcych, bo swoim mnie nie przyjęli, wyjechałem na dalszą tułaczkę i na cierpienia za winy tych, którzy często powodowali zło... Zacni moi kolejarze po całodziennych znojach mnie przytulili, nakarmili i zachęcili do dalszej pracy!

Marjawici po tych wypadkach zaczęli prędko budować sobie nową świątynię w Żeliszewie, zwaną przez katolików „modlarnią“. Byli ogromnie stropieni, ustawała w nich czynna energia w walce z katolikami, wielu otrzeźwiało, masami zaczęli się nawracać. To, że ja byłem osobiście obecny przy wykonaniu wyroku i osobiście broniłem dobra katolików, a przywódcy marjawitów natenczas uciekli i swe owieczki zostawili samym sobie, bardzo mnie podniosło w ich opinii, a ich duchownych poniżyło.

W Kotuniu bardzo uroczyście odprawiałem nabożeństwo październikowe. Lud tłumnie się gromadził. Parafia mi się powiększała znacznie.

W jedną niedzielę październikową, po niesporach, dałem ślub młodym, których rodzice byli marjawitami (nie pomnę nazwisk). Gdy się w zakrystji zbierałem do dania tego ślubu, dało mi znać, że ojciec któregoś z młodych chodzi koło kaplicy i odgraża się na mnie, jeżeli dam ślub jego dziecku. Nie zważając na pogróżki, dałem ślub. Poczem udałem się do pp. Dzierżęckich, gdzie zabawiłem do godz. 9—10 wieczorem. Wracając od pp. Dzier-

żęcych do mej siedziby przez zagajnik sosenkowy, usłyszałem w pobliżu strzał, trzy razy powtórzony; ze strachu potknąłem się, a potem co sił pobiegłem do domu. Noc była widna. Na ganku domu oczekiwał na mnie p. Krasnodebski. Weszliśmy do mieszkania, p. Krasnodebski zdjął ze mnie palto. Usiadłem zdenerwowany i poprosiłem o podanie mi poczty — gazet, które miałem w kieszeni palta. Patrzymy — gazety są podziurawione, rewidujemy palto i kieszeń dziurawa, oglądam na sobie suknię też ma dziurę, a na ciele mojego uda rysa zadraśniętej skóry. Okazało się, że te strzały przed chwilą były do mnie skierowane. Głos strzałów słyszał i Krasnodebski, który, widząc mnie bladego i zmienionego, nie śmiał pytać, co to były za strzały. Nikomu oficjalnie nie meldowałem tego wypadku.

W listopadzie ogłosiłem z ambony, że będę chodził po wioskach z kolędą, bo chcę poznać lepiej swoich parafjan, że kto zechce mnie mieć w domu, niech stoi u furty swego podwórka i poprosi mnie; kto nie zaprosi, to go będę omijał jako nie swego parafjanina. Marjawiccy duchowni nakazali swoim, by się przedemną zamykali, by ze mną nie rozmawiali. W pierwszym dniu wizytacji istotnie wiele domów było zamkniętych we wsi Żeliszewie, ale w następne dnię nawet wielu marjawitów prosiło mnie, bym ich odwiedził.

Mówili potem marjawici: „i to ksiądz i w dodatku taki miły, przystępny, grzeczny: pogada i dzieciom da obrazek, książeczkę, cukierek“.

Niewiele domów w jeden dzień odwiedziłem, gdyż robiłem to powoli, badając stan moralny, oświatowy, zdrowotny, oraz stosunki wzajemne rodzinne i sąsiedzkie. Wiele było tematów i bolączek do serdecznego omówienia. Obszedłem w ten sposób całą parafję. Lud podlaski jest zapałny, łatwo się wzburzy, ale prędko rozważy i przyjdzie do równowagi, nie jest zacołany, ale wyrobiony życiowo.

Marjawici wreszcie sami opuścili kościół, plebanję i całe terytorjum kościelne. Nie wszystko zostawili w porządku, nawet bowiem drzewa owocowe ładne i dobrych gatunków, nasadzone przez Ks. A. Pleszczyńskiego, zostały przez nich poniszczone, korzenie popodcinane, tak, że trzeba było je usunąć.

Ja się nie śpieszyłem z objęciem na dobre kościoła i plebanji w Żeliszewie, gdyż miło mi było w Kotuniu, wszak tyle tu ładnych chwil przeżyłem w czasach trudnych, smutnych. Nabożeń-

stwo było w całej pełni i popularne. otoczony byłem miłymi mi wiernymi. Nie pilno mi było poczciców żegnać, którzy okazali mi wiele serca. Zresztą przyznam się, że odstraszała mnie zniszczona plebanja i kościół, bałem się zamieszkać wśród może złe nastawionych na mnie parafjan, w ośrodku wichrzeń i walk niedawnych. Wstyd mi, ale i to prawda! Ponadto, czułem się nader wyczerpanym fizycznie i psychicznie po tylu tarapatach i uważałem, że chwilowo niezdolny byłem tam pracować. Potrzebowałem urlopu, odpoczynku i przynajmniej na jakiś czas do pomocy i towarzystwa drugiego kapłana na rozbitej placówce, na pobojo wisku.

Napisałem przeto do Ks. Biskupa o urlop i zastępcę. Urlop uzyskałem, ale nie po mojej myśli, ho z poleceniem jednocześnie udania się na wikariusza do Maciejowic. Na moje miejsce w Żeliszewie wyznaczony został Ks. Dyon. Błoński. Zdegradowany byłem, tak mi się zdaje, dlatego, że ośmieliłem się scharakteryzować stosunki w sąsiednich parafjach, i że wyjawilem źródła i przyczyny zła i powodzenia marjawitów. Uczyniłem to w dobrej wierze i całej życzliwości dla sąsiadów, nikogo nie potępiając.

Dodać muszę, że byłem w Żeliszewie-Kotuniu blisko rok czasu. Żadnych absolutnie dochodów nie miałem. Swoim kosztem przeważnie urządziłem kaplicę i tę placówkę, nabyłem większą część aparatów i utensyliów, urządziłem odpusty etc. Sporo więc jeszcze swego grosza wydałem. W diecezji Warszawskiej duchowieństwo było opodatkowane na wspieranie księży pracujących wśród marjawitów. Byłem więc bardzo upokorzony przez przetranslokowanie mnie, wobec tych, którzy to sobie różnie, niekrytycznie tłumaczyli.

W broszurze: „**Marjawici w Lubelskim i na Podlasiu**“ wydanej w Lublinie w r. 1909, też zostałem pokrzywdzony przez autora, zdaje się, X. K. D., gdyż pisze on: „do pełnienia tych posług delegowany był czasowo N. N...” I tylko tyle o mnie. Mój następca dużo tu dobrego zrobił, bo kościół odrestaurował, pracował dalej zbożnie, ale jego praca odbywała się w normalnych warunkach, gdyż miał już kościół oddany ze wszystkimi prawami i całą własnością.

Ale odbudowa kościoła żywego, nawrócenie marjawitów w 3/4 parafji, odzyskanie zaufania do księży katolickich, i słupienie fanatyzmu, słowem fundamenty, odzyskał właśnie ten „czasowo delegowany“. Zresztą autor źródłowo się myli, **gdyż ja nie byłem czasowo delegowanym**, lecz by-

tem formalnym proboszczem tej parafii, jak to widać z nominacji Biskupiej Nr. 1586/1906 r. Dlaczego więc pozbawił mnie zasług? Dlaczego, nim napisał broszurę, nie zaczerpnął prawdziwych wiadomości? Sam przecież widział stan parafii przed moją pracą, jako delegat Biskupi, i stąd został wygwizdany przez marjawitów.

W „Katalogu Podlaskim“ z r. 1929, str. 41, o par. Kotuniu jest napisane: **„zaraz po tolerancji rel. były starania o wybudowanie tu kaplicy z powodu zbytnej odległości od kościoła w Żeliszewie, założono nawet fundamenty, lecz wypadki dziejowe nie pozwoliły urzeczywistnić planu. Po wojnie otworzono kaplicę w domu drewnianym, którą następnie powiększono przez zajęcie na ten cel całego domu. Parafia utworzona została w r. 1922 przy kaplicy pod t. Św. Antoniego Padewskiego“.** A na str. 53 tegoż katalogu napisano: **„Kościół w Żeliszewie... sprofanowany był w r. 1904 przez sektę marjawitów, którzy potem wzniesli sobie swoją świątynię“.**

Czuję się w obowiązku zacytowane wiadomości sprostować: **Mysł budowy kościoła w Kotuniu powstała nie na pamiątkę tolerancji relig., lecz na pamiątkę mojej pracy misyjnej w r. 1906 i na pamiątkę założenia wtedy już kaplicy pod tyt. Św. Antoniego Pad. i nie dlatego, że kościół w Żeliszewie był zbyt odległy, lecz, że ten kościół był zajęty przez marjawitów. Ja już zrobiłem plany na nowy kościół.** Tytuł kościoła **Św. Antoniego** przyjęto, by twórcę kaplicy uczcić, który **nosi to imię. A więc już sam tytuł na mnie wskazuje.**

Następnie, kościół w Żeliszewie był sprofanowany **nie w roku 1904, lecz 1906**, gdyż w r. 1904 nie było jeszcze marjawitów. Oto prawdziwa historia i taka powinna być w katalogu. Nie wolno zmyślać w historii, kiedy są jeszcze świadkowie prawdy.

Ponieważ te „wspomnienia moje“ składałam do archiwum Kurji Biskupiej w Lublinie i do archiwum diecezjalnego w Siedlcach, jako przyczynek do historii parafii tych diecezji, przeto uzupełniam je przez dołączenie mej autobiografii.

CZĘŚĆ TRZECIA.

AUTOBIOGRAFJA.

Urodziłem się dnia **2 czerwca 1877 r.** w Woli Radzieckiej, pow. Biłgoraj. Rodzice moi byli niezamożni, ale bardzo religijni i bogobojni. W tych zasadach byłem i ja wychowany. Usługiwałem do Mszy św..., byłem głównym zelatorem kół młodzieży.

Początkowe szkoły ukończyłem w Kątach; nauczycielami moimi byli: Malinowska — katoliczka, polka, Romanowski — polak, katolik i Kowalski, prawosławny. Jeszcze więcej uczyłem się w domu, przerabiając dokładnie gramatykę, składnię i literaturę języka polskiego, historję, geografję, matematykę, fizykę, chemję, zoologję, geologję, botanikę i t. d. Książek do tych studjów udzielali mi pp. Oskar Gierlicz z Abramowa, J. Brandt ze Smorynia, Ks. J. Zyszkiewicz. P. Gierlicz pomagał mi w studjach. Nadto wiele, wiele czytałem dzieł różnej treści. W opinji ludu uchodziłem już jako „uczony“, pisałem podania, obliczałem sołtysom podatki. Byłem ulubieńcem okolicy, byłem do „tańca i różańca“. Podobno byłem miłym, usługowym i przykładnym młodzianem, zwł. w kościele. Marzeniem mojem było uczyć się wyżej, lecz środki materjalne na to nie pozwalały, mało było szkół i te były rosyjskie, dla Polaków mało przystępne. Płakałem na widok gimnazystów i studentów, że nie mogę się uczyć, jak oni. Chcąc się dostać gdzie do gimnazjum lub innego zakładu średniego, tulałem się od takich szkół do innych, i zewsząd mnie odprowadzano z niczem, bom nie miał pieniędzy... Ile trudów i przykrości doznałem w poszukiwaniu wiedzy?! Przytem do r. 1895 musiałem pracować na kawałek chleba, początkowo u rodziców nim byli oni usunięci z własnego zagona... a potem w folwarkach: Smoryń, Kąty, Radzieciu, Abramów i Pulczynów. Krwawa, dosłownie krwawa była to praca zarobkowa!

Wreszcie w lipcu r. 1895, za radą X. J. Żyszkiewicza, rzuciłem pracę fizyczną i zabrałem się, jako „samouk“, na serjo do książki, — studjów w celu zdobycia patentu gimnazjalnego. Od uczniów gimnazjalnych Fr. Miazgi, P. Miazgi i I. Mydlaka informowałem się o programie nauk gimn. i podręcznikach; w wakacje t. r. korzystałem z pomocy tych uczniów w nauce. A ile nasłuchałem się wówczas szyderstw: „stary próżniak, nie chce mu się pracować, chciałby być panem“!... Przez 10 miesięcy brałem lekcje u ex-kleryka Jul. Króla, któremu wiele zawdzięczam. Przez następny rok uczyłem się u pp. Pierespiewowa i Iwanowa — oficerów rosyjskich w Janowie, płacąc im za korepetycje. By zaś móc ich opłacić, sam jako korepetytor, musiałem uczyć dzieci u pp. Szyszkowskich. Wreszcie na parę miesięcy przed swemi egzaminami brałem lekcje u p. J. Kościelskiego, prawosławnego, studenta Uniwer. Moskiewskiego.

I tak, po dwóch latach mozolnej pracy, złożyłem egzaminy gimnazjalne w Zamościu dn. 18 września 1897 r. Zdawało nas 8-iu (urzędnicy) i tylko ja złożyłem. Dzięki P. Bogu, bo ta chwila zadecydowała o mojej przyszłości!

Dnia 12 listopada 1897 r. przyjęty zostałem do Seminarjum Duch. w Lublinie, którego rektorem był ks. Nojszewski, a vice-rektorem ks. Zenon Kwiek. Ponieważ wstąpiłem do seminarjum w dwa miesiące po rozpoczęciu wykładów i ponieważ chorowałem (może z przemęczenia) w ciągu roku wykładowego, przebywając parę miesięcy w szpitalu „Dzieciątka Jezus“ w Warszawie (stary Boduinowski gmach), przeto w seminarjum na I-ym kursie przesiedziałem dwa lata. Ale to mi dobrze zrobiło, bom już potem łatwo przechodził z kursu na kurs, miałem nawet czas na wolną lekturę i na pomaganie słabszym kolegom.

W tym czasie wprowadzony program nauk przedmiotów rządowych: języka rosyjskiego, historii i literatury rosyjskiej został znacznie rozszerzony, bo wprowadzono jeszcze starożytną literaturę, a w dodatku obostrzono przepisy, tak, że kto nie zdał egzaminów z przedmiotów rządowych, nie mógł po skończeniu seminarjum zająć żadnego stanowiska w diecezji. Musieliśmy zdawać egzaminy przed specjalną komisją rządową, składającą się: z generał-gubernatora warszawskiego (Czertkow), gubernatora lub. (Tchorzewski), delegata ministerstwa W. R. i Ośw. (Wojejkow), dyrektora Okręgu szkolnego (Istomin) i profesorów właściwych przedmiotów (Eustachiewicz... i t.d.), oraz Biskupa diecezji (Fr. Jaczewski)

i profesorów z Rektorem na czele (duchownych). Ciężkie to były czasy i te egzaminy roczne, a zwłaszcza ostatni maturalny na V kursie. Dzień egzaminów—to był sądny dzień. Wielu się alumnów obcinało na tym egzaminie.

Wyświęcony zostałem na kapłana **d. 29 czerwca 1903 r.**, w kaplicy biskupiej przez wielkiej i św. pamięci, Bpa Fr. Jaczewskiego, tego obrońcę wiary św. w czasach prześladowania Kościoła i kapłanów przez moskali.

Na pare dni przed egzaminami, a na pare tygodni przed święceniami, w sam dzień moich imienin, straciłem swoją dobrą, pobożną matkę; pochowałem ją na cmentarzu we Frampolu. Jako młody kapłan przed objęciem stanowiska przebywałem głównie we Frampolu u gościnnego ks. Ant. Sadł. lub w Radzięcinie u księdza Wojciecha Rog. i innych parafjach. Najmilszy ten czas w moim życiu spędziłem na gorliwej pracy. To tu, to tam, najchętniej spełniałem posługi religijne prześladowanym unitom, którym niezmiernie współczułem i których bardzo ceniłem jako najgorliwszych wyznawców Kościoła.

Sam, urodzony w niewoli, pochodzę ze stron unickich, z okolic Radeczniczy. Będąc małoletnim chłopcem, z podobnymi sobie, organizowaliśmy się w kółkach różańcowych i oświatowych, by się uczyć potajemnie czytać i pisać po polsku,—historji ojczystej, by się modlić i śpiewać po polsku i katolicku, by czytać książki polskie i gazety (Świąteczna, Zorza, Polak...). Zgromadzaliśmy się w domu przy zasłoniętych oknach, często w lesie lub na cmentarzu grzebalnym, na polach, łąkach i tuśmy przysięgali być polakami katolikami, tuśmy się wprawiali do boju o ideały polskie, katolickie... „Zlituj się, zlituj nad sierotami“, „Przed Twe ołtarze zanosim błaganie“—echa tych pieśni wznosiły się przed tron Królowej Korony Polskiej, a dusze nasze rosły, potężniały, rwały się do lotu!... Miło nam było w tych kółkach pracować. Przyplacaliśmy często nasze zapały prześladowaniem moskali, którzy nas rozpędzali, aresztowali, pchali do kozy, a starszych i rodziców karali „sztrafami“.

Za podobną pracę, za dostarczanie i rozrzucanie „bibuły“, za tę konspiracyjną robotę wywieziono pod ostrym konwojem **X. J. Żyszkiewicza** z Frampola, **X. P. Kwoczyńskiego** z Górecka i mieszczan z Frampola: Stanisława Miazgę, Jana Miazgę, Serafina Miazgę, Erazma Miazgę i Kościa — do Odessy.

Przedostawaliśmy się za kordon do Galicji, gdzie Polakom było swobodniej, by tam odetchnąć, by zakupić nowy zapas książek polskich dla siebie i okolicy. Ciężko było się tam przedostać, a jeszcze trudniej wrócić. Po obszernych lasach Ordynacji Zam. pędzała za nami policja i straż graniczna. Ratunek swój zawdzięczaliśmy nogom lub przekupstwie straży, ale to ostatnie nie zawsze nam się udawało. Nawet chodzenie na odpusty do miejsc cudownych opłacaliśmy często tem, że nas ganiano, tłoczono po stęchłych kozach, chlewach lub okładano karami, bośmy nie mieli paszportów... Miałbym wiele do opisanania z lat mojej młodości. Ale nie o to mi tu chodzi, wspominam tylko te pewne szczegóły, by wykazać z jakiej pochodzę szkoły życia. Dzisiejsze pokolenia, urodzone w wolnej Ojczyźnie, nie rozumieją mnie, nie doceniają czem była niewola... dziś tej wolności najczęściej nadużywają. Dzisiejsi, mając szkoły gęsto polskie, polskich nauczycieli, naukę w polskim języku, śpiew, modlitwę i literaturę bogatą, nie doceniają, jak oni są dziś szczęśliwi...! My, dzieci niewoli, musieliśmy wprost kraść wszystko to, co swoje, co polskie! Z jakim trudem zdobywaliśmy naukę. Twarda niewola jednak hartuje ludzi i rozbudza prawdziwy, ofiarny patriotyzm, wykuwa charakter... Ludzie swobodni często nikczemnieją.

Z trudem, jako samouk, wybiłem się, skończyłem szkoły i zostałem kapłanem. Będąc przez rok djakonem, już rozpocząłem pracę wśród unitów, bo chrzciliem ich dzieci potajemnie. A potem jako kapłan, nim zostałem zatwierdzony przez g. gubernatora na parafję, nawiązywałem stosunki z „działaczami“ w Lubelszczyźnie i na Pod'asiu oraz przy ich pomocy obsługiwałem unitów religijnie. Pomagali mi Stanisław Moskalewski, b. wojewoda lub., Jan Brandt ze Smorynia, Karpińscy z Panasówki, Sirkowie z Czarneogostoku, hr. August Zamoyski z Różanki, Błyskosz z Dołhobrodów i inni. Z nimi, od nich i do ich znajomych jeździłem niby w „gościnę“, a właściwie z misją do unitów. Bywało nieraz: ochrzciłem, wyśpowałem i jednym zamachem połączyłem węzłem małżeńskim jednych i tych samych. Bardzo owocną misję miałem w październiku 1903 r. w Różance i w Dołhobrodach przez kilka dni. Głównym jednak terenem pracy w tym czasie były: Radecznicza, Zwierzyniec, Tereszpól, Trzęsiny i Czarnystok. Okolice te znałem dobrze, bo miałem wszędzie znajomych, i łatwo było mi się wykręcać i pracować.

U pp. **Brandtów w Smoryniu** bywałem często; w ich folwarku odbyło się kilka większych zebrań unitów z dalszych okolic do spowiedzi, chrztu, ślubów i z chorymi... Jan Brandt, to wielki przyjaciel-chłopoman ludzi, którzy mieli do niego duże zaufanie i do niego chętnie się zjeżdżali. Smoryń w tych okolicach był główną ostoją dla prześladowanych. Dziś ze Smorynia-dominjum niema śladu: lasy piękne i pola rozparcelowane. W Smoryniu było wyrabiane ongiś sławne piwo. W zamojszczyźnie byli wówczas zacni i gorliwi proboszczowie, ale w stosunku do unitów mocno strachem podszyci i tak ostrożni, że nawet „wywodu“ t. j. błogosławieństwa post partum (po dziecku) bez dowodu, że kobieta jest katoliczką, nie zrobili. I słusznie bali się moskala, bo ich ściągano za byle co karami i donosami, bo mogli się łatwo narazić na wygnanie lub utratę stanowiska, mogli też narazić parafjan i kościół parafji na prześladowanie... To też, potajemnie przed tymi proboszczami, zabierałem z ich kościołów Oleja św., utensylja, książki liturgiczne, a nieraz Najśw. Sakrament do obsługi relig. unitów. Oleja św. najczęściej woziłem w pudełku od zapalek lub w portabaku. Tych, którzy organizowali zebrania unitów, sprowadzali mnie do nich, woźili, którym spełniałem te usługi, a głównie prowodyrów, wpierw pouczałem o obowiązkach, odpowiedzialności, ostrożności, a już odpowiednio urobionych, brałem na cmentarz najczęściej i na grobach ich dziadów odbierałem od nich przysięgę wierności, sekretu i nawet poświęcenia w razie potrzeby. Wielu nazwisk tych ludzi już nie pamiętam, bom na ten szczegół nie zwracał uwagi. Często nie wiedziałem, kto, do kogo mnie woził. Odbywało się to przeważnie w nocy i przy najgorszej pogodzie, by łatwiej było się ukryć. Celem było jak najwięcej zrobić, nie złapać się, nie dać się zdradzić, zmylic ślady...

Mój własny ojciec nie wiedział po co mnie tu i tam woził, bo on się z ludźmi gościł i gwarzył, a ja obok w innym domu dzieci chrzcilem...

W listopadzie 1903 r. Stan. Moskalewski zabrał mnie wieczorem i zawiózł pod Radecznicę. Zabrałem ze sobą, jak wyżej, Oleja św. i t. d. Noc była ciemna, gruda, śnieżycą. Błądziliśmy na łąkach pod Radecznicą. Furman, choć miejscowy, ani my, nie orjentowaliśmy się, zmyliwszy drogę. Wywróciliśmy parę razy.

Moskalewski przy wywrocie nogę sobie nadwyrężył. Na odgłos psa szczekającego dotarliśmy do wsi — do celu. Trudy nam się sowiecie opłaciły. Entuzjazm i wzruszenie wśród ludzi wielkie:

podziwiali odwagę „misjonarza“, że tu pod twierdzą rusycyzmu osmieleł się zawitać z niedozwoloną, niebezpieczną misją. Żniwo było bogate: wypowiadałem wiele unitów chorych, ochrzciłem kilkadziesiąt dzieci, związałem węzłem małżeńskim wiele par.; zachęciłem zebranych do wierności i wytrwałości w wierze i polskości i do bronienia tych ideałów. Odbyło się to w ciszy, przy zasłoniętych oknach, straż nasza czuwała na drogach i opłotkach, by nas kto nie podpatrzył i nie zdradził.

Ostrożność była konieczna, gdyż obok policji kręciło się po okolicy masę popów, a „monaszek — siostric“ trudno było policzyć, bo było ich mnóstwo. Siostry te ustawicznie włóczyły się po wsiach, by ludzi tumanić, leczyć i nawracać. A nadto było wielu tu ludzi zmoskwiczonych i zdrajców... Działać obok ogniska prawosławia, było zuchwalstwem, zdawało się leżeć prosto w paszczę wrogom. To też podobne misję były tu rzadkie i nikłe. Wszystko się nam szczęśliwie udało: wszyscy zostali obsłużeni, rozdaliśmy masę broszur, „bibuły“, dewocjonalji... na odwagę poczęstowano nas „siwuchą“ i przysmażoną kielbasą. Nad ranem dopiero odjechaliśmy do Zwierzyńca, a ja potem do domu. Dodać należy, iż w Lubelskim trzeba było zachować wielką ostrożność, gdyż lud tutejszy nie był zdolny, jak na Podlasiu, do zachowania tajemnicy, wypaplał wszystko bodaj przed swoimi i prędko już cała okolica wiedziała, co kto robił..., a skutki tego bywały fatalne. Tu unja została łatwo rozgromiona, tu wpływ popów galicyjskich na niekorzyść katolicyzmu był znaczny, tu nawet księża katolicycy byli owiani tchórzostwem i trzeba było przed nimi zachować sekret, bo i sami bali się coś unitom zrobić i nie dopuszczali, by jaki „młodzik“ niedoświadczony biedy im nie przyspożył. Moi zacni proboszczowie ustawicznie prawili mi monity: „bądź ostrożny, nic nie zrobisz, a narazisz się sam i zgubisz nas i nasze parafje“. Rację im przyznawałem, ale swoje robiłem, bo już taka była moja natura i nie mogłem ścierpieć, by unici, prześladowani przez moskali za wiarę i polskość, przez przedstawicieli tych ideałów nie byli przytuleni, owszem jeszcze odpychani. „Przyszli do swoich i ci ich nie przyjęli“.

Dnia 13.XI 1903 r. zatwierdzony zostałem przez g. gubernatora na wikariuszją par. Mordy na Podlasiu. W tej parafji byłem do 22/XI—1905 r. Działalność moją tu opisałem szczegółowo i obszernie w I cz. mych wspomnień. Jest to dalszy ciąg pracy wśród unitów.

Po wyjściu z Mórd byłem krótki czas kapelanem w Różance u hr. Augusta Zamoyskiego. Skorzystałem tu wiele, bom się poduczył języków, zwiedziłem Francję, Szwajcarję, Włochy, Belgję... poznałem wiele wybitnych osobistości...

Dnia 24.II 1906 r. Biskup Jaczewski depeszą: „Jedź i ratuj Krześlin” wysłał mnie do tej miejscowości. W Krześlinie przy kościele poklasztorным rektorem był ks. D. Korzeniowski, starzec 83 letni. Marjawici krążyli w okolicy i chcieli ten piękny kościół zagarnąć. Marjawitów nie dopuściłem; zorganizowałem tu z polecenia Biskupa samodzielną parafję — filję Suchożebr, odnowiłem kilka cel w gmachu poklasztorным na mieszkanie, kancelarię i salę parafjalną. Miłą i wdzięczną tu miałem pracę!

Dnia 15.III 1906 r. z polecenia Władzy Duch. objąłem drugą placówkę, ale niestety już zajęta przez marjawitów, par. Żeliszew. Pasterzowałem w Krześlinie do dnia 12.V. 1906 r. A od tej daty byłem mianowany proboszczem w Żeliszewie. Krześlin zaś innemu oddano kapłanowi do obsługi. W Żeliszewie przy innie nawróciło się $\frac{3}{4}$ parafjan, odzyskałem akta parafjalne i archiwum, kościół, zabudowania i całą własność parafji. A w jakich warunkach to się odbyło — jest opisane obszernie, szczegółowo w II części wspomnień.

Dnia 20.II 1907 r. na własną prośbę (?), dla wypoczęcia nerwów,znaczony zostałem wikariuszem par. Maciejowice. Proboszczem był tu święty i przezacny ks. Adolf Pleszczyński. Nie wart byłem być jego wikariuszem. Bardzo mile i pożytecznie u niego czas spędziłem, był on wzorem, jakim być powinien kapłan i duszpasterz. W tej parafji z polecenia proboszcza zorganizowałem „Związek Katolicki”. Chodząc po kolędzie, urządzając wszędzie wieczorem zebrania, przywoziłem z każdej wsi dużą liczbę członków.

W Maciejowicach zżyłem się z rodziną hr. Andrzejostwa Zamoyskich z Podzamcza. Zamoyska Karolina była z domu de Bourbon. Z tymi Zamoyskimi wyjeżdżałem też do Francji (Paryż, Cannes), do Włoch (Wenecja, Medjolan, Genua), do Lubowli, ich zamku i posiadłości. **Lubowla—zamek, to sławna siedziba Jerzego Lubomirskiego, później rokoszanina.** W Lubowli Jan Kazimierz bawił w powrotnej drodze ze Śląska po „Potopie” Sienkiewicza, przeprowadzany przez Kmicica. Rodzina Zamoyskich budowała swą pobożnością lud w Maciejowicach. Dnia 5 września 1908 r. byłemznaczony na proboszcza do nowo tworzącej się parafji w Sworach k. Białej Podlaskiej.

Przed wyjazdem do Swór zaproszony byłem przez A. Zamoyskiego do Lubowli na Spiszu. Według umowy czekały na mnie konie na st. dr. ż. Piwniczna o godz. 11 przed połudn. Spóźniłem się i innym pociągami przyjechałem o godz. 10 w nocy. Od stacji do Lubowli ładnych parę mil, przez Karpaty. Wynająłem sobie górala, ogromnego draba z wolem na gardle. Nie zauważyłem, że ten był wstawiony. Księżyc świecił, lecz dość blado, bo i deszczyk z drobnych chmurków rosił. W połowie może drogi, na szczycie gór, góral staje i zawraca konie nazad, mówiąc, „że dalej nie pojedzie“. Gdybym go nie zatrzymał przy zawrocie, niechybnie byśmy wpadli w głęboką przepaść. Ale moja szybka orientacja, pięść, a potem rewolwer otrzeźwiły górala i wytłumaczyły mu, że musi jechać, dokąd się zobowiązał. W dalszej drodze spadł z koziołka... ale wkońcu zawiózł mnie pod zamek. Jednak duże stado ogromnych psów otoczyło nas, nie mogliśmy wysiąść, by się dopukać do ludzi, którzy byli pogrążeni we śnie. Zmuszeni byliśmy zawrócić z góry zamkowej i zjechać o parę kilometrów do pow. miasta Lubowli. Nie znałem okolicy, prosiłem górala, by mnie zawiózł do hotelu; ten szelma zawiózł mnie pod oberżę żydowską, do znajomych sobie żydków. Nolens volens musiałem przyjąć gościnę tutaj. Zdaje mi się, że dano mi na odpoczynek brudną otomanę i bety i puchy żydowskie, dopiero co opróżnione przez żydowską rodzinę. Chciało mnie uczcić jako gościa hrabiego i odstąpiono mi swe leże. W tej izbie spało nas ze wszystkimi żydziejami razem coś 10 osób. Istotnie byłem uczczony: brrrr, oka nie zmrużyłem, gdyż mnie pchły tak obsiadły i wpiły się w moją skórę, że dosłownie o mało mnie nie zajadły, byłem jak w formalnem mrowisku. Jak tylko zaczęło świtać, pożegnałem „gościnny“ dom i udałem się do hotelu „Nemzet“, by się wykapać, przebrać, uwolnić od pchełek. Zaledwie to zrobiłem, podjechał po mnie sam Zamoyski, który jakoś się dowiedział o mem przybyciu.

Bardzo mile spędziłem tu wrzesień i październik: codziennie odprawiałem Mszę św. w kaplicy zamkowej. Kaplica i niektóre sale ze wspaniałego i potężnego zamku dochowały się doskonale ze swymi freskami. Robiliśmy wycieczki w góry, do sąsiadów (Hohenloë i in., do Drużbak, Lewoczy, Popradu, Kežmarku). W Drużbakach, własności tegoż Zamoyskiego, są gorące źródła smacznych mineralnych wód. U Hohenloëgo polowaliśmy na dziki, strzelec zabił o jakie 50 kroków odemnie niedźwiedzia. W zamku była bogata

biblioteka, w wolnych chwilach czytaliśmy wspólnie na głos z Zamoyskim książki.

Jeszcze jedna przyjemność: bolał mnie bardzo ząb. W mieście Lubowli był dentysta, „sława“, b. asystent w Berlinie, węgier, a może żyd. I ten sława rwał, rwał i nie wyrwał mi zęba, tylko przerwał. A przytem ze spryzki płynu żrącego, łobuz, niechcący siebie i mnie po twarzy opryskał i ciało boleśnie poparzył; zdetonowany latał potem naokoło fotelu mego jak warjat, a ja zemdlałem... doprowadził nas do porządku felczer miejscowy. Dentysta prosił mnie, bym o tym wypadku zachował tajemnicę, bo by stracił praktykę, że tak leczył gościa hrabiego. W powrotnej drodze z Lubowli w końcu października wstąpiliśmy z Zamoyskim do Krakowa, byliśmy u Kardynała Puzyny. Odwiedziliśmy Gumniska k. Tarnowa Ksiąząt Sanguszków: księżna, to siostra Andr. Zamoyskiego. Zbudowałem się tu, widząc jak księżna codzień wspólnie ze służbą odmawiała wieczorem w kaplicy domowej różaniec i modlitwy wieczorne.

Po tak miłych wywczasach przybyłem na nową placówkę — do Swór.

S w o r y. Swory parafia niegdyś unicka, jedna z najbardziej prześladowanych przez moskali (vide „Martyrologium“ Ks. Pruszkowskiego, cz. 1). Ludomir Dymśza, poseł do Dumy rosyjsk., zbierał dowody przeciw wydzielaniu Podlasia z Polski, prosił mnie, bym mu dostarczył „pokwitowań rządowych z kas“ płaconych kar przez ludność ze Swór. Zebrałem tych pokwitowań na sumę około 10 tysięcy rubli... oddałem je Dymśzy. Ludność biedna, prześladowaniami przywiedziona do nędzy, ale b. przykładna, religijna i ofiarna. Kościół drewniany-unicki, zabrany przez moskali na cerkiew (dziś ta pamiątkowa świątynia rozebrana bez śladu) miał bardzo ciekawą historję. Nową świątynię w stylu zakopiańskim, z drzewa, swoim kosztem wznosił **Książę Światopełk Czesław Mirski** ze swą małż. **Marją z Fragettów**. Wielkiej zacności, serca, religijności i patriotyzmu byli to ludzie. Mieszkali w Woroncu, 3 klm. od Swór. Plany kościoła i plebanji wykonał inż. Wołodko z Białej. Głównym majstrem był Borysiewicz z Piszczaca. Wielką tu zasługę położył dziekan z Białej-X. St. Nojszewski. W tym samym stylu zbudowaliśmy 3 ołtarze, ambonę, chrzcielnicę, ławki i organy—wszystko z dębowego drzewa, według planów firmy warszawskiej: „Węgrzecki“. Roboty wykonał stolarz Kozakiewicz z Białej. Koszt na tołożył również Ks. Mirski. Kielich, monstrancję, utensylja wszelkie ofiarował Mirski.

Plac pod kościół, zabudowania i ogród—pole dał Mirski. Postawiłem plebanję, zabudowania, ogrodziłem je. Nadto zbudowałem dzwonnice, parkan naokoło kościoła. Dwa konfesjonały dębowe—stylowe. Ogrodziłem cmentarz grzebalny. Sprawilem aparata, bieleznię, chorągwie. Książę Mirski wszystko przeważnie finansował, a ja wszystko planowałem, robiłem, sprowadzałem, pilnowałem... Sprawilem dzwony z F. „Włodkowski“.

Podczas budowy mieszkalem w chłopskiej izbie (u Burdów) dłuższy czas. Ciężka, ale b. miła była to praca, bo praca wśród przeznacnych i godnych, jak przystało na męczenników lub tychże dzieci. Niegodny byłem wśród tych pocziwców pracować. W każdym razie pracę moją w Sworach długo, długo będzie widać.

Muszę wspomnieć o mym kochanym dziekanie — Stanisławie Nojszewskim z Białej. Miły to był kapłan, niezmiernie dobry, dowcipny, uczony i wzorowy. Cieszył się u wszystkich najlepszą opinią i czcią. Padł niewinnie od strzału szaleńca, który go ranił, gdy wracał z odpustu w Janowie Podlaskim. Poczem został sparaliżowany, cierpiał strasznie, był nędzarzem-kaleką, dostał manji samobójczej i w kilka lat zmarł tragicznie. Requiescat in pace!

Z powodu intryg, w czem zdaje się była ręka moskali, opuściłem kochane Podlasie w r. 1911. Od maja t. r. do grudnia byłem czasowo wikariuszem w Bychawie. Tu głównie zwróciłem swą pracę w kierunku zwalczania pijaństwa. Po skończonych jarmarkach, odpustach, zbierałem pijaków, leżących na rynku i w rowach przydrożnych na wóz, i, dawszy im na wstępie odpowiednią naukę, rozwoziłem ich po wioskach do ich domów i oddawałem rodzinom. Metoda ta była dość oryginalna i bardzo skuteczna. Nauczyłem się tego w Maciejowicach.

Z Bychawy w grudniu pojechałem na proboszcza do Moniatycz. Tu założyłem kółko rolnicze, sprowadzałem fachowców z odczytami, urządzałem kursy, założyłem spółk. mleczarnię; masło z tej mleczarni na rynku warszawskim miało największy procent tłuszczu. Urządzałem z kółkowiczami wycieczki do polskich ośrodków rolniczych: Częstochowy, Mieczysławowa, Głuchowa, Babina, Nałęczowa, Sobieszyna i Nowo Mińska. Parafjanie ze wsi Mojsławice byli najciekawszy i najlepsi. W pracy społecznej wiele i pożytecznie działał p. Ant. Piątkowski, prof. On to w tej okolicy zrobił wprost przewrót w rolnictwie wiejskiem. Na budowę plebanji w Moniatyczach zebrałem całą gotówkę, zwoziłem wszystkie materjały do budowy, wystarałem się o plany i zatwierdzenie

u władz rosyjskich, lecz już zbudować nie zdążyłem, bo zostałem przeniesiony do Duba. Bardzo miłe mam wspomnienia z Mońkatycz...

W czerwcu 1914 r. objąłem stanowisko prob. w par. Dub. W tej parafji przeżyłem wielką wojnę. Na terenie parafji odbywały się zacięte boje zw. „pod Komarowem“. Sześć pułków padło tu prawie do nogi. Pole bitwy gazety nazywały „Straszną dolina śmierci“. Plebanja moja, a w niej moje rzeczy, duża biblioteka, były podziurawione „jak sito“. Ja wśród kul uwijałem się i całe dnie i noce to w kościele, to na polu bitwy spowiadałem żołnierzy (przeważnie pochodzących z Podlasia) i załatwiałem chorych. Byłem aresztowany przez austriaków i byłem skazany na śmierć, tylko mnie uratowali na polu, gdzie byłem zaprowadzony, przez oficerów: węgry dra Bencza i słowaka Srećkę Serajkina. Należałem do powiatowego Komit. Ratunk. i byłem jednym z pierwszych założycieli gimnazjum w Tomaszowie Lub. W swej parafji założyłem w każdej wsi szkoły, zbierałem fundusze na opłacenie nauczycieli i urzędzenia. Założyłem tu też kółko rolnicze i sprowadzałem p. prof. Piątkowskiego i in. Kościół, plebanję i zabudowania zniszczone przez wojnę odbudowałem.

W lipcu 1917 r. złożyłem egzaminy w Zakonie OO. Jezuitów i przyjęty zostałem przez Prowincjała O. Haducha do tego Towarzystwa. Zdawało mi się jednak, że do Jezuitów ciągnie mnie pycha i dlatego, chcąc się upokorzyć, zamiast do Jezuitów, wstąpiłem do OO. Redemptorystów w Mościskach. Sławny O. B. Łubieński był moim przełożonym, a magistrem O. Nipocki. Bojąc się, że nie podołam dość surowej regule, prawie na ukończeniu nowicjatu, wystąpiłem. Święte chwile tu spędzone! Schylałem głowę zawsze przed OO. Redemptorystami, bo święci ludzie. U Jezuitów chyba bym wytrzymał, bo do nich zawsze miałem inklinację...

Dnia 3 maja 1918 r. przeznaczono mnie do Tereszpoła na zorganizowanie parafji i urządzenie z cerkwi kościoła kat. Mieszkałem u podległego W. B. Iżyckiego. Plebanja popska od 1914 r. stała pustką, była zniszczona i strasznie zanieczyszczona przez wojska i niewolników w wojny. Z wielkim trudem uzyskałem prawo do kościoła, domu, zabudowań i własności od Austriaków. Plebanję, zabudowania musiałem odrestaurować, pole, ogród ogrodzić. Cerkiew murowaną odrestaurowałem, zbudowałem 3 ołtarze, ułożyłem podłogi, przerobiłem chór, zrobiłem ambonę, kupiłem fisharmonję, kielichy, utensylja, aparaty, bieliznę, sztandary-

chorągwie. W bocznych nawach u sklepień odkryłem okna, gdyż były zamurowane i wskutek tego wiązania sufitugniły, z braku wentylacji. W urzędzeniu tego wszystkiego wiele dopomógł mi materialnie p. K. Czarnowski, plenipotent Ordyn. Zam.

Wreszcie dnia **11 sierpnia t. r.** wprowadziłem się do plebanji, rekuncyljowałem świątynię i z tym dniem rozpocząłem w niej nabożeństwa. Dotąd nabożeństwa odprawiałem w szkole, a ambonę miałem pod gołym niebem, obok.

Uroczystość rekuncyljacji odbyła się bardzo uroczyście, z dalekich okolic zeszyli się kompanje z kapłanami. Po mojem przemówieniu podniosłe kazanie wygłosił O. St. Dominik T. J., który wówczas na podobnej placówce pracował w Kosobudach. W Teresopolu byłem pierwszym proboszczem i właściwym organizatorem parafji. W archiwum parafji i Kurji B-piej znajduje się „Fundum instructi“, sporządzone przez następcę mego Ks. J. Juźwiaka. Historia parafji i kościoła spisana jest na paru stronicach. Jednak o początkach parafji Tereszpolskiej, o rekuncyljacji, o moim tu pobycie i pracy misyjnej i organizacyjnej niema ani słówka. Jak mógł autor zlekceważyć i pominąć początki bądźco bądź ważne dla historii parafji.

W ostatnich dniach grudnia 1918 r. przeniesiono mnie na proboszcza do par. Zwierzyniec Lub., oraz na prefekta tamtejszej wzorowej szkoły. Od plenipotentą K. Czarnowskiego i ordynata hr. Maur. Zamoyskiego wiele uzyskałem przywilejów dla księdza i kościoła w Zwierzyncu, m. in. stałą pensję wyższej kategorii. Pracowałem tu w dość trudnych warunkach jako proboszcz i prefekt; musiałem zwalczać oddawna zakorzenione nałogi wszechwładnych urzędników ordyn. (stałe np. polowanie w święta i niedziele z naganką): pobudkę do takiej pracy miałem od pp. Czarnowskich.

Obowiązkiem moim nawet na tem miejscu jest złożyć hołd zacnej pamięci pp. **Eleonory i Karola Czarnowskich**. Byli to ludzie wielkiego serca i rozumu, wielkich zasług, dobrzy praktykujący katolicy, wielkich zalet towarzyskich. I kościoły w Ordynacji, i stowarzyszenia społeczne, i pojedyncze rodziny doznawały wybitnej pomocy i ofiar tych ludzi. Cześć i podzięka im! Ś. p. Karol Czarnowski umarł 31.I 1920 r. na tyfus plamisty na moich rękach. Po jego śmierci zaczął się upadek Ordynacji Zamojskiej. Następnym plenipotentem Fudakowski B. dobry, ale niedołężny, siedzący pod pantoflem swej żony Anny, Ordynację zaprzepaścił.

a p. Anna mnie swemi intrygami wygryzła ze Zwierzyńca i przez nią, zamiast uznania, dostałem przyganę od swego Biskupa.

W r. 1920 nawała hord bolszewickich dotarła do Zwierzyńca. Ja postanowiłem nie ruszać się z parafji, choć sąsiedzi wyjeżdżali. Przykład mój podzielał, że nikt ze Zwierzyńca nie wyjechał, a masy uciekinierów z pod i z za Buga o Zwierzyniec się oparło. „Ksiądz odprawia codzień nabożeństwo, mówili, nie boi się i my nie wyjeżdżamy“. Och, jak wtedy kościółek zwierzyniecki był przepełniony i jak gorliwie ludność tu się modliła!

Dnia 13.IX 1922 r. przeniesiony byłem na proboszcza parafji Wysokie k. Turobina. Nie miałem ochoty iść do tej parafji. W kościele tej parafji ponaprawiałem szczyrby w murowanych ścianach i wieży kościelnej, porobione przez działania wojenne. Rozebrałem ruiny starej spalonej plebanji, odebrałem z gruzów jeszcze dużo materiału na nową plebanję. Sporo miałem tu przykrości, gdyż parafjanie byli zmanierowani przez „ludowca“—księdza Cz. Godlewskiego, potem ex księdza, który niewiele co robił, tylko się z chłopami całował... Dużą diwersję też robił ks. M. Stopa, ex reformat, którego wyciągnąłem z nędzy i przytuliłem, ale ten tylko oddawał się alkoholowi.

Na podstawie źródeł z archiwum parafji i ordynackich napisałem b. obszerne „fundum instructi“ t. j. historję parafji i kościoła w Zwierzyńcu i Wysokiem. W Wysokiem powinien w terminie zrobić to ks. Cz. Godlewski.

Od dnia 1.IX 1924 do dn- 1.IX 1929 r. byłem notarjuszem Kurji Biskupiej i Sądu Biskupiego w Lublinie. Jednocześnie zapisałem się jako zwyczajny student **Kat. Uniwersytetu Lubelskiego** i takowy w **czerwcu 1930 r.** ukończyłem. W r. 1932 zapisałem się na studenta Uniwersytetu Warszawskiego i jestem na IV kursie.

Od r. 1929 jestem adwokatem przy Sądzie Biskupim.

Co będzie w przyszłości? Deus scit!!!

UZUPEŁNIENIE. Na stronie 64, w 23-1m wierszu, licząc od góry, czytać opuszczone zdanie: i ja pod ten kościół zbudowałem już fundamenty z kamienia i cegły.

E P I L O G.

W imię prawdy muszę podać następujące uwagi z ostatniego okresu mej pracy. Przez 5 lat byłem notariuszem Kurji i Sądu Biskupiego. Pracowałem na tem stanowisku niepomrotnie. Kurja i Sąd mieściły się w jednym biurze. Czynności i interesanci przeszkadzały sobie. Dziś te dwa biura są odseparowane i urzędnicy Kurji i Sądu mają ściśle określone zadania i jedni drugich nie zastępują i nie pomagają sobie.

Ja w porównaniu z obecnym stanem rzeczy spełniałem czynności, które dziś wykonują **trzej urzędnicy** w dogodniejszych warunkach. Pracowałem za trzech:

1) **Byłem notariuszem Kurji:** do mnie należała wysyłka wszelkiej korespondencji sądowej i kurjalnej, ja się zajmowałem administracją i wysyłką „Wiadomości Diec.” Ja prowadziłem rachunki, bilanse miesięczne Kasy Diec. Dziś robi to tylko sam Skarbnik. Wysyłką dziś pakietów zajmuje się pisarz i woźny, a za mnie woźny był stary niedołęga. Ja pisałem dyspensy, nominacje i różne referaty: drugi urzędnik wciągał papiery do dziennika, a ja je referowałem. Mnie polecono formowanie „Rad Kościelnych”. Sprowadzono „powielacz” i ja nim operowałem. Przenoszono Archiwum Diec. do innego pomieszczenia i mnie oddano głównie tę czynność: cały byłem zapylony i zabrudzony przy przenoszeniu i segregowaniu akt, a jednocześnie załatwiałem interesantów w sprawach sądowych i wciąż byłem odrywany od jednych zajęć do drugich. Jak widać powyższe czynności były wystarczające aż nadto na jedną osobę. Niestety czynności te ilorakie i skomplikowane były zaledwie na dodatek do moich obowiązków głównych. Czyż obecnie urzędnik Sądu tyka się tych czynności kurjalnych? Czy choć czasami posługują się nim w tych rozmaitych czynnościach?

2) **Byłem notariuszem Sądu.** To, co ja spełniałem, dziś podzielone jest pomiędzy dwóch: V-Oficjała i właściwego notariusza. Vice-Oficjał kwalifikuje podania — sprawy, konferuje z adwokatami i interesantami i t. d., a notariusz załatwia interesantów, przygotowuje akta, pozwy, korespondencję. Nikt z Kurji nie śmie ich odrywać od swych zajęć, nie korzysta z ich zastępstwa, nie przeszkadzają im interesanci przychodzący do Kurji. Kurja i Sąd to dwa odrębne światy. Dziś urzędnicy sądowi mają czas obmyśleć każdą sprawę sądową, inne sprawy w biurze im nie przeszkadzają — święte życie. Przez Władze są uważani, jako zdolni, pracowici i wykwalifikowani urzędnicy. I słusznie, bo, nie będąc przeciążeni, przeładowani najrozmaitszymi sprawami, mogą wzorowo dopilnować sądowych czynności. I sami są dumni, że są tak uzdolnieni i za takich uważani, nie tak, jak b. notariusz, ich poprzednik „profan i próżniak“. Władza pracę ich ocenia... i najsluszniej, bo w takich warunkach mogą być wzorowi.

3) **ja spełniałem wszystkie** te czynności, które dziś pełni V-Oficjał, z wyjątkiem tych, które są honorowe, jakto Sędziego i V-Oficjała.

Kto zna stosunki, jakie były za czasów mego urzędowania w Kurji, niech, sine ira et studio, wskaże mi, gdzie było umieszczone biuro Sądu Duchownego, w którym przy oddzielnych stołach pracował personel sądowy? Dziś łatwo się dopatrzyć i nie trudno oddać honory kierownikom biura sądowego!

Osądźmy sprawiedliwie i poważnie. Przedstawiłem bez żadnej przesady czynności swe jako notariusza Kurji i notariusza-kierownika Sądu Biskupiego. **Ale do zobrazowania rzeczywistej prawdy i to nie wystarcza**, bo trzeba jeszcze wziąć pod uwagę inne okoliczności: inaczej pracuje ktoś, gdy ma określoną i jednolitą pracę, gdy tę pracę spełnia w oddzielnym biurze, gdy załatwia interesantów swojego fachu, gdy ta praca jest proporcjonalnie rozłożona pomiędzy potrzebne osoby, gdy nie trzeba być omnibusem do roboty, bez dania mu samodzielności, gdy się ma do własnej dyspozycji maszynę do pisania, odpowiedni papier, swoje formularze, swoje tylko akta i nikt mu się nie wtrąca i nie odrywa go od jego zajęć i t. d. i t. d. Za mojego urzędowania nie mniej było spraw, owszem jeszcze więcej, bo nie było kryzysu. Nieustannie mnie odrywano do spraw kurjalnych, na czynności sądowe musiałem wprost kraść czas, musiałem tylko w międzyczasie dorywać się do maszyny pisania, jam pisał protokoły i prowadzi-

łem całą formalistykę na papierze, wyrwanym ze starych akt, papier ten był odpowiedni, ale do czego innego, tak był pognieciony. Ja musiałem niemal codziennie wysłać po kilkadziesiąt pozwów i korespondencji, na co nie miałem druczków i formularzy, jak dziś, i takowe musiałem pisać ręką na marnym papierze. Samo badanie stron i świadków w sprawach małż. w 4-ry dni tygodnia zajmowało mi po ładnych pare godzin dziennie.

Dosłownie miałem codziennie biurko swe zawałone papierami i aktami sądowymi i kurjałnemi, pilnemi i terminowemi, które bezwzględnie codzień należało załatwić i wysłać. Doprawdy nie wiedziałem, co wpierw zrobić, co chwycić do ręki, by było w porę załatwione. Zresztą o normalnem myśleniu, o uplanowaniu zajęć, mowy być nie mogło. Rzucano mną na wszystkie strony. Stąd ja w swej pracy nie byłem samodzielny, nie mogłem pracować normalnie, bom był wszechstronnym automatem i to stale w ruchu, bom był powolnem narzędziem w rękach każdego. Nic dziwnego, że gdy wyszedłem po pracy z biura, tom o parę kroków ludzi nie poznawał, bom stracił wzrok. W takim chaosie mogłem popełnić jakiś błąd ale jakie i ile tych błędów popełniłem? Kto się urodzi pod szczęśliwą gwiazdą to nawet jego błędów ludzie nie widzą, a kto ma pecha w życiu, to nawet jego zalety uważają za błędy!!!

K O N I E C .



XV
Kot